

dob. 47
WSPOMNIENIA

J. I. KRASZEWSKIM

PRZEZ

T. T. JEŻA. *spis*

Publik
obair # 06478
z portretem J. I. Kraszewskiego podług medalionu L. Steinmanna.

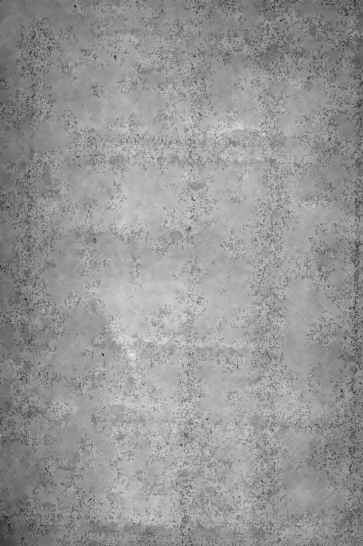
WARSZAWA.

Wydawnictwo imienia T. T. Jeża.

SKŁADY GŁÓWNE:

w Warszawie	w Petersburgu
u	w księgarni Warszawskiej
Gebethnera i Wolffa.	Br. Itymowicz.
1888.	

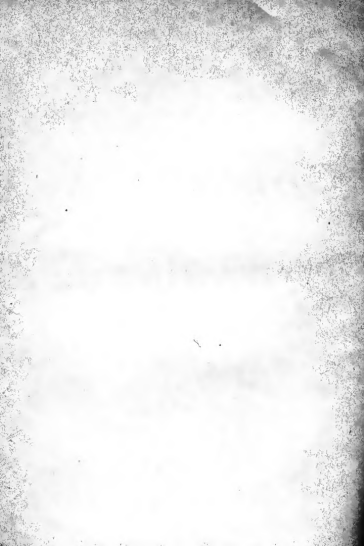




Dr H. Łódź 1911 7751.

~~1751~~

WSPOMNIENIA O J. I. KRASZEWSKIM.





Portrait of J.J. Raaslewski, a member of the Finnish Literary Society, 1850.

1751

WSPOMNIENIA

o

J. I. KRASZEWSKIM

PRZEZ

T. T. JEŻA.

Z PORTRETEM J. I. KRASZEWSKIEGO

zgodny medalionem L. Steinmanna.



WARSZAWA.

Wydawnictwo imienia T. T. Jeża.

SKŁADY GŁÓWNE:

w Warszawie
" "
Gebethnera i Wolffa.

w Petersburgu
w księgarni Warszawskiej
Br. Rymowicz.

1888.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Января 1888 года.



BFP-44809 S

Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna 56 1550 (26 nowy).

BFP | 81 | 98 | 42

I.

Kochanowski—Mickiewicz—Kraszewski—w rozwoju piśmiennictwa narodu każdego mężowie tacy są to słupy wytyczne. O ludziach tej miary późne mówią pokolenia i one to stanowią właściwy do sądzenia o prowodyrach tych trybunał. Spółczesni, pisząc o nich, występować nie mogą inaczej, jak w charakterze świadków przed kratkami, świadków, dających wskazówki wielce cenne ze względu na tę drogę racjonalną, na jaką wraz z Tajem weszła w czasach ostatnich krytyka literacka, biorąc pod nóż analizy nie tylko dzieła autora, ale i osobistość jego—tłómacząca przejawy estetyczne za pomocą motywów psychicznych. Słuszne to jest, sprawiedliwe i potrzebnem. Dzieło i twórca stanowią zawsze jedno nierozdzielne, którego strona jedna przedstawia się sama; drugą zaś przedstawić winni ci, co znajdowali się w takich lub innych z autorem stosunkach.

Ten jest powód, dla którego skreśliłem o Kraszewskim wspomnienia moje.

Z Kraszewskim nie pozostawałem w stosunkach zażyłości, znamionujących przyjaźń. Stykałem się z nim jednak w momentach dla mnie i dla niego, jeżeli nie

inaczej, to moralnie ważnych, nastęrczających wnio-
ski, mogące w pewnej mierze przyczynić się do scha-
rakteryzowania strony psychicznej tej postaci niepo-
spolitej.

Trudno oswoić się z myślą, że z pośród nas Kra-
szewski ubył. Myśl wciąż do niego wraca; wciąż po-
stać jego na oczy się nasuwa. Byłaż bo to postać
wydatna—wydatna nietylko w Polsce, ale i szerzej,
dalej—z tego bodaj względu, że pracownikiem podob-
nym nie pochwali się żaden wiek, żaden naród. Na-
zwa „tytana”, „olbrzyna” pracy należy mu się słusznie
i ta właściwość jego, usuwając na bok zalety pisarskie
i wpływ, jaki pisma jego na społeczeństwo wywierały,
ta właściwość sama jedna czyni niezmiernie ważną
obecność tej postaci w narodzie naszym. Pomiedzy
wadami, jakie nam wytykają i jakie przyznajemy sobie
sami, figuruje jedna mianowicie, upakarzająca nas. Jest
nią niezdolność do pracy wytrwałej. Niechże nam po-
każą w narodach innych pracownika równie wytrwa-
łego! Kraszewski ogromem i rozległością spuścizny,
jaką po sobie zostawił, daje świadectwo, żeśmy do
pracy uzdolnieni, że przymiotu tego nie brak narodo-
wi polskiemu, kiedy on takiego Kraszewskiego wy-
dał. To jedno—powiadam—bez niczego więcej, do-
statecznem jest, ażeby pamięć jego drogą dla nas
była. Prawda atoli wyznac nakazuje, że „pracowitość”
jego stanowi fenomen, odstępujący od reguły ogólnej.
Tak pracować nie każdemu jest danem. Posiadał on
łatwość niezrównaną, zdumiewającą, wyjątkową my-
ślenia i przelewania na papier. Myśl raz powzięta
formułowała się mu sama nie w głowie już, ale w pal-
cach, w których pióro dzierzył. Nad okresami, nad
szykowaniem wyrazów nie potrzebował się zastana-
wiać ani na jedno oka mgnienie. To wszystko, już
gotowe, z góry ukute, wlewało się w te sznureczki
węzełkowate, pod których postacią przedstawiało się

pismo jego. Mówilem z nieboszczykiem o tem. Opo-
wiał mi o rozkładzie dnia swego. Zrana załatwiał
korespondencyje, przeglądał dzienniki i pisma, czytał;
o południu przyjmował odwiedzających; nad wieczor-
em przechadzki lub przejażdżki zażywał; wieczorem,
około ósmej, do pracy właściwej zasiadał i pisał do
dwunastej, do pierwszej, do drugiej niekiedy. Poró-
wnywaliśmy—jednego fachu rzemieślnicy—materiałną
produkcyjność naszej wydajność. W równym prze-
ciągu czasu Kraszewski cztery razy tyle, co ja, wy-
produkowywał; że zaś mnie dni sześćdziesięciu potrze-
ba do napisania tomu, Kraszewski przeto pisał tom
we dni piętnaście, czyli przecięciowo w godzin siedm-
dziesiąt pięć. Na tom o 300 stronicach wypada to,
po cztery stronice na godzinę. Biorąc rzecz ściśle,
każdy zwyczajny śmiertelnik podołałby temu mógł,
gdyby trzech czwartych czasu nie obracał na obmy-
ślanie szyku, na wyszukiwanie wyrazów, co Kraszew-
ski miał w umyśle z góry przygotowane tak, że pięć
godzin pracy starczyło mu za dwadzieścia. Obracho-
wanie to, dokonane przez porównanie z tej miary co
ja pod względem ilościowym producentem, tłómaczy
płodność Kraszewskiego. Mógłby on, gdyby przez dni
trzysta w ciągu roku pisał po pięć godzin dziennie,
pisywać rocznie, niezależnie od korespondencyj, po
tomów dwadzieścia. Nie pisywał tyle. Pomiędzy
dziełem jednym a drugim zachodziły przerwy, obra-
cane na przyspasabianie materiałów. Nieboszczyk,
gdyśmy z nim o tem mówili, dziwił się, że się płodno-
ści jego ludzie dziwują.

— Wiercie mi—słowa jego, wystosowane do
mnie i do rodziny mojej—że nie robię nic nadzwyczaj-
nego.

— Powiadają—odezwiała się żona moja—że szano-
wny pan przepisujesz prace swoje...

— Często...—odrzekł z uśmiechem. Niekiedy połowę tomu, a nawet i tom cały w ogień rzucam i rozpoczynam pisanie nanowo... O, to mi się zdarza często... często... częściej, jak państwo myślicie...

Słowa te wyrzekł, kiedyś go w roku przeszłym miał zaszczyt pod strzechą moją gościć.

Przyjechał był wówczas do Genewy na kongres literacki, zwołany przez Towarzystwo międzynarodowe literatury i sztuk pięknych, którego był jednym z prezydentów. O zamiarze jego uczestniczenia w obradach nie wiedziałem. Nie uprzedził mnie; słówka, wyjeżdżając z San-Remo do Schinznach i następnie, przenosząc się z Schinznach do Montreux, do mnie nie napisał. O przejazdach jego z miejsca na miejsce dowadywałem się z gazet i z powodu tego nie umiałem dać dokładnej informacyi patryjarsze uczonych polskich, Ignacemu Domejce, który, odwiedzwszy mnie, wyraził życzenie zapoznania się jeszcze i z Kraszewskim. Wskazałem mu Schinznach. Domejko tam pojechał i zastał Kraszewskiego na wyjeździe. Spotkali się na dworcu kolei w momencie, kiedy jeden wysiadał, drugi wsiadał. Kraszewski udał się do Montreux; że zaś z Montreux wracać miał na zimę do San-Remo i do powrotu droga najprostsza wypadła mu na Genewę, więcem się go w Genewie spodziewał, licząc na to, że przez nadlemańską stolicę nie przejedzie, bez widzenia się ze mną. Liczyłem na to, ale nie napewno. Poczuwałem się względem Kraszewskiego do winy i przypuszczałem, że żał ma do mnie, a to z powodu, który poniżej wyłożę.

Po wypuszczeniu przez prusaków Kraszewskiego za kaucyją 22,000 marek z Magdeburga i przybyciu jego do San-Remo, skomunikowałem się listownie z d-rem Tymowskim, celem dowiedzenia się, w jakim zdrowie skazańca lipskiego znajduje się stanie. Pod

kopertą d-ra T. przesłałem słów kilka pozdrowienia Kraszewskiemu. Od d-ra otrzymałem, pod datą 27-go listopada r. 1885-go, odpowiedź następującą:

„Pan Kraszewski bardzo się ucieszył z nadesłanych mu życzeń i prawdopodobnie natychmiast sam panu za nie podziękował. Niestety zdrowie zacnego starca ogromnie ucierpiało przez dwuletnie zamknięcie w ciasnem więzieniu i niegodziwe obchodzenie się z nim dozorców, jak i systematyczne prześladowanie sędziów i rządu. Boleść serce ściska, patrząc na tego człowieka, który żyje przez pracę i dla pracy; z pewnością wkrótce zmarłby w więzieniu, gdyby mu nie pozwolono na zimę tu przyjechać. O powrocie mowy nie ma, bo byłaby to dla niego śmierć niechybna, a przecie lepiej stracić kaucyją, jak życie; zresztą, może otrzyma jeszcze zupełne ulaskawienie, chociaż wątpię... Mam nadzieję, że pobyt w San-Remo powoli siły wzmocni, to i chore organa się wyleczą; dotąd już nawet płuca się poprawiły, tylko żołądek i nerwy ogromnie rozstrojone. Pan Kraszewski pozostanie na zimę w San-Remo, co następnie z sobą zrobi powiedzieć nie umiem. Przy tej sposobności,” etc. podpisano:

„d-r Tymowski.”

Otrzymawszy list ten, przedstawiłem sobie Kraszewskiego położenie, jakoteż stosunek jego do rządu, który go sądził, skazał i za urlopem kaucyjonowanym z więzienia karnego wypuścił, włożywszy nań obowiązek powrotu do więzienia pod karą utraty kaucyi. Zobowiązanie jego całkowicie i wyłącznie polegało na kaucyi. Gdyby go byli prusacy na słowo wypuścili, rzecz stałaby inaczej. Słowoby zobowiązywało bezwzględnie i bezwarunkowo, chociażby konający Kraszewski wracać musiał. Oni jednak do łamania słów nawykli sami, celem zapewnienia sobie powrotu jego,

domagali się od niego nie słowa, ale pieniędzy—ocenili osobę jego na 22,000 marek i kazali takowe sobie złożyć, zobowiązując go przez to do wyręczenia pieniędzy osobą swoją, i dając mu prawo, zarówno jurydyczne, jak honorowe, wrócić, albo nie wrócić.

Takem sobie przedstawił kwestyją, jak skoro otrzymałem list d-ra T. Równocześnie z listem od d-ra doszedł ręk moich list od Kraszewskiego. Przepisuję takowy dosłownie:

„Kochany kolego—Bóg zapłać za twą drogą dla mnie pamięć i życzliwości dowody. Po półtrzecia roku strasznego ucisku, złamany na ciele i na duchu, wypuszczony zostałem, ale niewyzwolony... Co da Pan Bóg później? nie wiem... to wiem, że wyszedł tak znękany i z taką odrobiną życia, iż cudem byłoby ją zachować długo. Niech ci Bóg, kochany bracie, da wszystko dobre, tobie i rodzinie twej—nie zapominaj o mnie i pozwól abyśmy z sobą w częstszych stosunkach być mogli. Ściskam dłoń twoją. Brat i sługa J. I. Kraszewski.”

Stosunki majątkowe Kraszewskiego były mi całkowicie obce. Wyobrażenia o nich nie miałem; wiedziałem jeno, że nie był on magnatem, co mi stwierdzała kaucyja. Gdyby interesa, jeżeli nie jego samego, to, rodziny jego w świetnym znajdowały się stanie, prusacy złożyćby kazali nie 22,000, ale dziesięć razy większą kaucyją. Obok tego zrozumiałem, że on do więzienia wracać nie może i nie powinien. Jakże to atoli z interesami pogodzić? Wydało mi się, że na to rady innej nie ma, jak wywrzeć na niego nacisk materialny i moralny: kaucyją mu zwrócić i przez to, nakazać niejako, ażeby się prusakom nie oddawał—kaucyją zwrócić sposobem zbiorowym, składając się po, ile kto może—po franku, po dwa, po pół franka. Nie wątpiłem, że dziennikarstwo krajowe chętnie w zbieraniu

składki zapośredniczy. Nie wątpiłem, że czytająca publiczność polska z ochotą pośpieszy z datkami, mającymi na celu wyzwolenie autora, co wobec niej takie ogromne położył zasługi i któremu ona sześć lat temu takie głośne i świetne hołdy, na obchodzie jubileuszowym (1879) w Krakowie składała. Pewny byłem, że dość będzie o mężu tym przypomnieć, ażeby się składki posypały i w pewności téj, nikogo się nie radząc, i nikomu nie opowiadając, skreśliłem wezwanie, które przesałem do Krakowa, do *Nowej Reformy*. Przesłałem je był pierwaj do *Kraju*, ale się *Kraj*, nie pamiętam jak, wymówił. Wezwanie ukazało się w *Nowej Reformie* i—w wodę zapadło. Dziennikarstwo wezwania mego słówkiem jednym nie poparło. Ze strony publiczności było zgłoszeń się kilka zaledwie. Wyrwałem się, jako Filip z Konopi: zrobiłem—zupełne a ogromne *fiasco*.

Wierzyć mi się temu nie chciało—nie pojmowałem, jak się to stać mogło.

Wyperswadowałem sobie wreszcie, że m się nie w tę, w którą należało, zwrócił stronę, występując z odezwą w obozie postępowym. Chcąc złe naprawić, napisałem do profesora Stanisława hr. Tarnowskiego, jako do profesora literatury polskiej, w której Kraśzewski takie szerokie zajmuje miejsce i jako do naczelnika stronnictwa potężnego, przyznając się przed nim do *fiasca* i prosząc, ażeby sprawę wyzwolenia najznakomitszego z pomiędzy tych, co niwę piśmienictwa polskiego uprawiają i o którego majątek chodzić powinno, w swoje wziąć raczył ręce. Oto, co mi sz. profesor, pod d. 19-tym kwietnia 1886-go r. z Krakowa odpowiedział:

„Szanowny Panie, wyznaję, że list pański parę dni temu odebrany, nie jest łatwym do zrozumienia: nie wiem co i w jaki sposób ja mógłbym zrobić w sprawie

o której Pan mówi. Mniejsza o to, że ani ja jestem naczelnikiem stronnictwa, ani to do którego należą potężnem, jak Pan sądzić się zdaje. Ale czy istotnie myśli Pan że ja, lub ktokolwiek ztąd, ma wpływy w Berlinie i mógłby tam co tymi wpływami sprawić? Jeżeli zaś ma Pan na myśli Wiedeń, to i tam także wpływy polskie nie sięgają zbyt daleko, a z pewnością nie otrzymałyby nic dla osoby, za którą prośba lub udzielona jej opieka mogłaby urazić potężnego, a na tę osobę właśnie szczególnie zawziętego sąsiada. Rząd austriacki w tę sprawę wdać się z pewnością nie zechce. A co mógłbym poradzić czy ja, czy jakikolwiek inny prywatny człowiek, nie wiem i nie widzę. Proszę przyjąć, etc." podp:

„S. Tarnowski."

Powoływałem się w liście moim na odezwę w „Nowej Reformie" drukowaną, której jak się zdaje, sz. profesor nie czytał, przeczytać po otrzymaniu listu mego nie chciał i dlatego zapewne żądania, z jakim się do niego zwróciłem, nie zrozumiał. Osobliwem jest, że w odpowiedzi swojej ani razu nazwiska Kraszewskiego nie wymienił. Odpisałem, że nie chodzi o żadne do Berlina lub Wiednia wstawiania się, ale o rzecz nierównie łatwiejszą: o zebranie pieniędzy. List mój drugi raz bez odpowiedzi pozostał. Sprawa upadła.

Owóż, przekonany byłem, że poruszeniem tej sprawy wyrządził Kraszewskiemu przykrość dotkliwą. Dotknęło to i mnie do żywego. Czułem się winnym — winnym, że Kraszewskiego nie zapytałem, winnym, że się przyjaciół swoich, mianowicie zaś dziennikarzy, nie poradziłem — i usprawiedliwiać się nie śmiałem. Korespondowanie moje z Kraszewskim przerwało się i to po następującym, z dnia 5-go grudnia 1885 roku, liście jego do mnie. Przytaczam wyjątek początkowy:

„Nie obawiajcie się, abym Was nazbyt nudził i nużył moją korespondencyją—pragnę tylko zbliżyć się do Was, bo dotąd jakoś zbyt mało i rzadko stykałiśmy się z sobą, nawet listownie.”

Przestaliśmy się od marca 1886-go r., stykać listownie. Jam nie pisał, nie chcąc się wdawać ani w przepraszanie banalne, ani też w usprawiedliwianie się, któreby mnie nie usprawiedliwiło. Kraszewski zaś, którego przezemnie na jaw wyprowadzone zobojętnienie ogółu zabołeć musiało, nie pisywał do mnie. Z racyi tej, co do pobytu jego w Schinznach, nie umiałem Domejce dać informacyi dokładnej i nie byłem pewny, ażali Kraszewski nie przejedzie przez Genewę bez widzenia się z tym, co mu boleść sprawił. Miałem zamiar w Montreux go odwiedzić; żem się jednak zapisał na kongres, musiałem odwiedziny na później odłożyć.

Kongres się otworzył. Na pierwsze publiczne posiedzenie, odbywające się pod prezydencyją prezydenta rzeczypospolitej helweckiej, pana Numy Droz, zeszło się publiczności sporo. Aula uniwersytecka, na obrady ofiarowana, zapelniała się ludem całkowicie prawie. Zająłem miejsce w głębi, naprzeciwko, a nieopodal od trybuny, na której zasiadł komitet, złożony z prezydentów i wiceprezydentów czynnych i honorowych, z sekretarzy i asystentów. Do trybuny od drzwi głównych wchodowych prowadziło przejście pomiędzy ławkami, ustawionemi w amfiteatr. Aula uniwersytecka w Genewie zaleca się obszernością i elegancyją, smaku nie pozbawioną; posiada parter i galeryje, które publiczność, ciekawa oglądania przedstawicieli między narodowych literatur różnojęzycznych, zapelniała licznie i oczekiwała na wyrazy, oznajmiające otwarcie kongresu. Wreszcie wyrazy te z wysokości trybuny padły i w chwili właśnie, gdy ławki i galeryje uwagę ku takowej wyteęzały, nastąpiło intermezzo, które na

chwilę uwagę odwróciło. Ktoś przyniósł i prezydentowi wręczył kartę wizytową. Kartę tę prezydent pokazał jegomościom obok siedzącym i z pomiędzy tych jeden, reprezentant—jak się o tem później dowiedziałem—Norwegii, wiceprezydent Towarzystwa, człek rośły i silny, pan Fryderyk Baetzmann, zerwał się, poskoczył, z pośpiechem przez aulę przeszedł i po chwili powrócił, prowadząc z wysoka pod ramię człowieka wpół pochylonego, ostrożnie po schodzących w dół stopniach stąpającego. Obejrzałem się... ujrzałem zrazu wierzch czaszki pokrytej włosem płowym i brodę tegoż koloru, na piersi spływającą. Kształt czaszki i broda uderzyły mnie. Odrazu Kraszewskiego poznałem. Ścisnęło mi się w piersi i zadławiło mnie w gardle. Potrzebowałem wysiłku niejakiego, ażeby nie objawić głośno uczucia, jakie mnie nawskroś przeniknęło, a którego nazwać nie umiem.

Kraszewski przesunął się mimo mnie, na trybunę, zawsze przez Baetzmanna podtrzymywany, wszedł i obok prezydującego miejsce zajął. Pośpieszyłem za nim; dłoń mu uściśnąłem, w ramię go pocałowałem. Kraszewski uścisk dłoni mi oddał; przywitał się jednak ze mną, jak z nieznajomym. Przykrość mi to sprawiło. Cofnąwszy na miejsce moje, oka z niego nie spuszczałem: on głowę od czasu do czasu podnosił, po sali oczami powodził i słuchać się zdawał uważnie mowy pana Numy Droz, który, wyłożywszy cele i zadania kongresu, wymieniać począł codystyngowańszych uczestników onego. Z kolei wygłosił nazwisko Kraszewskiego i ukłonem ku niemu pochylił. Na znak ten aula w dole i w górze zabrzmiała grzmotem oklasków. Kraszewski powstał, skinął głową w stronę jedną, skinął w drugą; oklaski trwały, póki nie zasiadł. W sposób ten publiczność genewska powitała i uczciła ofiarę pruską. Gdy oklaski przebrzmiały, Kraszewski znów po sali oczami powodził, jakby czegoś szukał. Nagle wejrzenie jego

spotkało się z mojem; poznał mnie; wzrok na mnie zatrzymał, uśmiechnął się i skinieniem głowy i dłoni oznaki powitalne mi dawał.

Nastąpiły przemowy, mowy, sprawozdania etc. Posiedzenie inauguracyjne zajęło godzin ze dwie; gdy się zakończyło, znów do Kraszewskiego podszedłem i z aulim go wyprowadził pod ramię. Tu i owdzie na schodach, z powodu natłoku ludzi, wypadało mi podtrzymać go. Zdziwiła mnie pierzana ciała jego lekkość. Unosiłem go bez trudu najmniejszego. Do rozmowy pomiędzy nami przyszło na krużganku dopiero.

— Kiedyżście przyjechali?...—zapytałem.

— Wczoraj wieczorem i dziś na posiedzenie byłbym przyszedł wcześniej, gdybym się dopytać mógł, gdzie się kongres odbywa...

— Gdzieżście stanęli?...

— W Hôtel de Russie...

— Czyż tam nie wiadzano?...

— No... nie wiadzano...

— Czemużście mnie znać nie dali?...

— Czemu?... a... o tem nie pomyślałem, luboć myślałem o tobie, bom cię zamianował moim na kongresie zastępcą... Zawiadomiłem o tem Lermine...

Mówił to do pojazdu wsiadając.

— Kiedy Was odwiedzić można?... zapytałem.

— Koło południa... wieczorem, kiedy ci się podobają... Odwiedź mnie... odwiedź... nie formalizuj się, że nie ja pierwszy do ciebie pójde...

— A no...—odrzekłem i chciałem drzwiczki zamknąć, gdy Kraszewski, wyjąwszy z zanadru pugilares, głową potrząsał i odezwał się:

— Poczekaj... poczekaj...

Kartę wstępu na kongres z pugilaresu wyjął i mnie takową podał.

— Widzisz... przeczytaj.

Karta była na jego imię. U spodu wyrazy ręką jego skreślone, upoważniały mnie, jako zastępcę, do zabierania głosu i wotowania w łonie komisyj, wyznaczonych do kwestyi specjalnych. W taką właśnie zapatrzyłem się kartę na imię własne.

— Kiedyż ja kartę kupilem sobie...—odrzekłem.

— Na cóżeś kupował?...

— Czyżem ja wiedzieć mógł!...—odparłem. — Znać mi nie daliście...

— No... widzisz... Wina moja... wina moja... — podchwycił.

Drzwiczki zamknąłem—odjechał.

Odwiedziłem go nazajutrz po posiedzeniu. Siedział na krześle zwyczajnem obok stolika, na którym znajdowały się przybory do pisania i książek parę. Bardzo był mi rad—obok siebie posadził i o rodzinę moją zapytywać mnie począł.

— Jam u ciebie był...—odezwał się w ciągu rozmowy.

— Nigdy w życiu...—odparłem.

— Jakże!... w oczach mi stoją: twoja żona i dzieci...

— I Lipkowscy...—dodałem.—Byliście w Montreux u Lipkowskich, do których w odwiedzinach przyjechałem był z Lozanny z żoną i dziećmi w roku 1876-ym...

— Może... a?...—przypominał sobie.

— Ale wynagrodzicie nam to teraz i przyjdziecie do nas na obiad...

— Dobrze...—odparł—tylko nie dziś...

— Jutro...

— Jutro... ale uprzedzam ciebie, że mam z żołądkiem kłopot i wszystkiego jeść nie mogę... Niech żona twoja nie liczy na obkarmienie mnie...

— Liczymy na to, że z nami godzin kilka spędzicie...—odparłem i rozpytywać się go jałem, co mu jeść wolno.

Pokazało się, że jadłem, które żołądek jego znosi, są bifsztyki, kotlety, ryby i owoce. Załatwiwszy się z tą sprawą, przeszliśmy do materyi kongresowej. Wiedzieć chciał o czem się obrady toczyły. Zdałem mu sprawę—słuchał uważnie i opinią swoją wyrażał, żaląc się, że towarzystwo to nie znajduje się pod kierownictwem ludzi seryjo.

— Kieruje tam wszystkiem Lermına, a Lermına nie jest człowiekiem seryjo... i Ulbach nie jest seryjo... Ale są tam ludzie poważni... Poznaj się z Betzmanem... Wiesz, kto to taki?...

— Nie wiedziałem.

— Norwegczyk... człowiek seryjo... Poznaj się z nim... Zresztą on sam się do ciebie zbliży, bo mu mówił o tobie...

Mówił następnie o chorobach swoich i wówczas już zaznaczył—pamiętam to dokładnie—puchnięcie nóg, jakoteż i to, że w łóżku sypiać nie może i że go wogóle bezsenność trapi. Narzekał na bezsenność w więzieniu.

— Miewałem noce straszne—powiadał. Ja to opiszę kiedyś...

— Jakżeście dobrze zrobili, żeście do więzienia nie wrócili!.. rzekłem.

— Wracać nie mogłem... na śmierć chyba pewną. Straciło się... ale... Pocziwa rodzina moja mnie uratowała... Syn—westchnął—kaucyją za mnie złożył...

— Wiecie...—zacząłem, chcąc się przed nim do winy przyznać i o wybaczenie go poprosić.

— Ach! wiem!..—przerwał. Nie mów mi o tem, bo mi to przykrość wielką sprawia...

Drugi raz jeszcze przy okazji materyją tę potrąciłem i drugi raz mówić mi nie dał—tak, że nie wiem, co mu właściwie przykrość sprawiało: czy moje z odezwą wyrwanie się, czyli też obojętność ogółu. W pogarnięciu się do mnie mam skazówkę niejako, że raczej

ta ostatnia aniżeli tamta. Cóż bom ja koniec końcem złego zrobił? Powołać chciałem ogół do przyjścia z pomocą człowiekowi wśród nas bezwarunkowo najzasłużeńszemu pomimo, że pomiędzy mną, a autorem „Wieczorów Wołyńskich” i „Chorób wieku,” nie mniej jak „Rachunków,” zachodziła różnica przekonań w niejednym względzie? W tem zdaje się—nie zblądziłem i dziś, po zastanowieniu, nie znajduję we względzie tym winy wielkiej na sobie. Błąd mój polega na tem, że nie przypuszczał, ażeby proces lipski niekorzystnie dla Kraszewskiego usposobić miał sfery wpływowe. Przypuściwszy bowiem, że on w rzeczy samej zarzucanych mu na sądzie zbrodni się dopuścił, to najprzód są to zbrodnie względne, specyficznie pruskie, za któreby go nigdzie, z wyjątkiem Prus, do odpowiedzialności nie pociągano, a potem—nie przysługiwałoż mu, ze strony naszej zwłaszcza, to Chrystusowe powiedzenie: „Kto bez winy, kamieniem nań ciśnij?” Kto z nas gdyby mógł, jak Dalila Samsonowi, wyrwać ze łba pruskiego ten włos, co wyrosłemu krzywdą polską olbrzymowi potęgę zapewnia, nie uczyniłby tego z sumieniem jaknajczystschem? Dalekiem przeto było odemnie przypuszczenie, ażeby proces lipski odezwanie się moje o wykupienie z niewoli Kraszewskiego miał na fiasco narazić. Tem zblądziłem i w tem jest wina, bardzo wielka wina moja. Na szczęście Kraszewski wykupił się sam, albo raczej rodzina go wykupiała. W tym razie rodzina zastąpiła naród, biorąc na siebie ciężar, który, rozłożony na barki kilkudziesięciu tysięcy czytelników, uczułyby się nikomu nie dał. Zdaje się, że nieboszczyk rozumiał to i pretensyi do mnie nie miał—przeciwnie zauważyłem, że dawał folgę temu „pragnieniu zbliżenia się do mnie,” które w liście z dnia 5-go grudnia 1885-go r. wyraził.

Nazajutrz przyjechał do nas na obiad, pojazd odprawił i pozostał z nami godzin kilka. Natrafił na

oazę polską na obczyźnie. Nie przytrafiało się to mu od lat dwudziestu czterech. z wyjątkiem momentów, w których wycieczki do Wielkopolski i Galicyi czynił. Ale go to na ziemi polskiej nie uderzało. Tu zaś język w ustach dzieci wystawionych na ustawiczną z francuzczyzną styczność, zadziwienie mu sprawił. Sprawili mu to zadziwienie i zadowolenie zapewne i kto wie, czy nie to w części bodaj jakiejs utwierdziło go w zamiarze osiedlenia się ostatecznie w Szwajcaryi *).

— Chciałbym być gdzieś blisko was...—odezwał się.

— Czyż wam w San-Remo źle?...—ktoś z nas zapytał.

— Źle... nie; ale obco... obco... Palmy mnie rażą... Piękne to, ale mam już tego za dużo... W Szwajcaryi miałbym nasze drzewa... Powiadają jednak, że nie byłbym tu bezpiecznym... Plater zapytywał w St.-Gallen i w Berlinie; odpowiadano mu, że nie ręczą...

Poczęliśmy mu perswadować zapewniając, że natura przestępstwa jego tego jest rodzaju, iż absolutnie uniemożliwia reklamowanie go ze strony pruskiej. Sprzeciwiają się temu prawa krajowe, których w tym mianowicie względzie szwajcarowie ściśle przestrzegają, jak tego złożyli dowody w odniesieniu do Ludwika

*) Z listu do Fluga z d. 13 kwietnia 1882 r. (*Klasy* N-r 1139) pokazuje się, że zamiar ten przychodził mu na myśl dawniej. Nie mógł się jednak zdecydować na wsiąknięcie w emigracyą, do której nie czuł pociągu. W Dreźnie, związanym z Polską tylu wspomnieniami, stał niejako na kresach. Dreżna się więc trzymał, pomimo przykrości, jakich doznawał ze strony policyi niemieckiej. Gdy jednak przedstawiły się mu do wyboru: Włochy, Francya i Szwajcaryja—wybrał tę ostatnią i na wybór jego wpłynąć mogły w części powody, o których mówię. Podaję je atoli z tem zastrzeżeniem, że jestto mój domysł. (Przyp. aut.).

Napoleona, Mazziniego, Rocheforta i wielu innych. Perswazyje nasze do przekonania jego trafiły tem łatwiej, że przekonać się chciał. Wyraził życzenie zamieszkania pomiędzy Lozanną a Vevey, nie w wielkiej atoli miasta i od komunikacyi pocztowej odległości.

— Łatwo znaleźć do najęcia willę—rzekł ktoś z nas.

— Chciałbym kupić — odrzekł — dom obszerny z ogrodem ocienionym drzewami... Widziałem domy takie...

— I kupić można... Będziemy się dowiadywali.

— Dowiadujcie się o dom w cenie od trzydziestu do czterdziestu tysięcy franków... Niech będzie niepozorny i stary... ja go sobie przebuduję... byle przy nim były drzewa rozłożyste, cienia dużo dające... O drzewa mi chodzi szczególnie... Tylko nie rozpowiadajcie o tem nikomu... niech to pomiędzy nami zostanie, boby mnie z San-Remo nie puścili...

O zamiarze nabycia domu gawędka ciągnęła się długo, raz się urwała, znów wznawiała. Kraszewski do materyi tej nawracał po razy kilka i to śród rozmowy nie mającej z nią styczności najmniejszej. Zauważyłem, że w rozmowach przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, nie kończył jednego, wszczynał drugi. Tego dawniej nie bywało. Kraszewski nie opuszczał przedmiotu, póki go nie omówił, chyba go interlokutor ku niemu pociągał. Zmiana, jaka we względzie tym zaszła, przykreść sprawiała, znamionowała bowiem w tym umyśle potężnym pewien rozstrój podobny do tego, jaki postrzegać się daje w siłach fizycznych człowieka, co, idąc, zatacza się. O czem jednak mówił, mówił dobrze, jasno i logicznie. Zajęło go naprzykład, leżące w saloniku naszym na stole „Album malarzy polskich w sztychach,” którego nie znał; przeglądał je uważnie i mówił z właściwą sobie znajomością rzeczy o sztycharstwie. Zajęły go żywo protokoły procesu, opisane

po rusińsku na klejonych jedna do drugiej ćwiartkach, formujących spory zwitek—odczytać je próbował i nie potrafił: mówił z tego powodu o dokumentach starych, tembardziej, że mu podsunął parę tego rodzaju pamiątek, udzielonych mi przez łaskawych znajomych. Przy okazji tej, treść rozmowy naprowadziła na bałamuctwo, wynikię z pomieszania nazw podobnych dwóch miejscowości: Fastów i Fastówce, a odnoszące się do podawanego przez historyków szyku bojowego armii, dowodzonej w r. 1792-gim przez ks. Józefa Poniatowskiego. Kraszewski wskazywał źródła, wedle których bałamuctwo to rozwikłaćby się dało. Rozmowa wreszcie zesła na technikę pisarską, od tej przeszła na inną jakąś materiją i czas z gościem znakomitym upływał nam szybko i miło.

Żona moja przestrzeżona co do pokarmów, jakie Kraszewski przyjmować może, przysposobić kazała bifsztyk, kotlety i ryby. Zaczął od tych ostatnich i na nich skończył, ale spożył je z apetytem, wypił wina kieliszek i jadł nawet ser, zwany *Fetit suisse*. Na prośby o „pokosztowanie przynajmniej” dań innych, odpowiadał:

— Jadłbym, pani droga... jadłbym, ale... nie można... Pilnować się muszę... pilnować się muszę...

Apetyt miał nie zły—człowieka prawie zdrowego mimo, że wygląd o zdrowiu nie świadczył.

Przy stole zająć nie chciał miejsca pierwszego, które mu żona moja wskazała.

— Za nic!... — zawołał—za nic!... Albo wcale nie usiądę, albo siądę sobie tu, z boku, koło pani dobrodziejki...

Do siedzenia dobierał sobie krzesel wysokich. Fotel służył mu do spania, zastępując łóżko.

Po obiedzie pił kawę czarną, palił papierosy, był

ożywiony, wesół — opuścił nas około czwartej po południu.

W czasie pobytu w Genewie mnie jednego spotkał ten zaszczyt, że zaprosiny na obiad przyjął. Od innych wymówił się, prosząc mnie, ażebym go tłómaczył dolegliwością pęcherza szczególną, przeszkadzającą mu przy stole siedzieć. Odwiedzał atoli tych, co go wizytowali, mianowicie: p. Bartkowskiego, który, sam chory, posłał córkę w celu złożenia mu uszanowania i d-ra Z. Laskowskiego, do którego pojechał ze mną.

Jak go uderzyła polskość w domu moim, tak uderzyła obecność polaków w Genewie.

— Jest tu was sporo... — rzekł razu pewnego. — Macie i lekarza polaka...

— Lekarza i profesora znakomitego — podchwyciłem. — Laskowski wykłada w szkole medycznej anatomię i wykład jego ściąga do uniwersytetu słuchaczy...

— Jakże to dobrze!... jakże to dobrze... — zawołał. — Polacy z tej strony Polskę za granicą reprezentujący, przynoszą korzyść ogromną... Jakże to dobrze... Laskowskiego znam z wystawy jeszcze paryskiej (1867)... Oglądałem wynalazek jego... Jakże to dobrze...

Mówiliśmy o młodzieży polskiej, pobierającej w uniwersytecie genewskim nauki; że zaś młodzież była płci obojga, rozmowa przeto zeszła na edukację wyższą kobiet.

— Taki duch czasu — rzekł. — Nie ma co...

Bardzo mu się podobało, kiedym mu mówił o dobrem i przyzwoitem prowadzeniu się Polek.

W ciągu tygodniowego pobytu jego w Genewie, widywałem go z wyjątkiem dnia jednego, czwartku, w którym z członkami kongresu na Gyon jeździłem, codziennie, jeżeli nie w hotelu to u siebie. Zajeżdżał do mnie razy kilka. W rozmowach dotyczyliśmy przedmiotów rozmaitych, między innemi: instytucyj szwajcarskich i procesu lipskiego.

Szwajcaryja, którą znał dawniej ze strony zewnętrznej, bardzo dobre tym razem zrobiła na nim wrażenie, gdy nieco w głąb wglądnął. Z Schinznach jeździł do Hilfikon, zamku, będącego własnością p. L. Michalskiego, człowieka, który mu umiał istotę Szwajcaryi, ważniejszą niż szczyty, przepaście i widoki alpejskie, pokazać. Ogromnie mu się podobały: spokój, porządek, stosunki społeczne, swoboda, zwłaszcza zaś, edukacyja publiczna. Mówił o tem z takim akcentem, jakby świat nowy odkrył i rozpytywał mnie o szczegóły.

— Ależ tu przyjeżdżać!... ztąd wzory brać... — powtarzał.

Proces lipski stanowił materiją drażliwą. Nim do niej przystąpił, zapowiadał mi razy parę, że przystąpi i—nie przystępował. Wreszcie zaczął. Nie zadawałem mu zapytań dużo—słuchałem—opowiadał. Opowiadanie nie wiązało się porządnie; przeskakiwał od faktu do faktu; ogólne atoli wrażenie, jakie z tego, com usłyszał, wyniosłem, było przekonanie, że sędziowie lipscy skazali—niewinnego. Kraszewski znał granicę, jaka w pobieraniu o kraju pewnym wiadomości rozdziela poszukiwania naukowe i obserwacyją artystyczną od zbrodni stanu i nie przekraczał takowej.

— W listach—powiadał—na których się oskarżenie oparło, znajdowała się drobna cząstka istoty winy, za jaką mnie skazali... Urzędnik śledczy, gdyby był poszukał lepiej, znalazłby listy bardziej kompromitujące... Ale, któż do mnie nie pisywał?... Miałem listów stosy... Urzędnik setnej części nie przejrzał... Gdy rewizyją czynił, byłem spokojny, nie przypuszczając, ażeby mnie do odpowiedzialności pociągać miano za to, co ten i ów do mnie pisał...

Nie domyślałem się kabały z góry ukutej i zręcznie przeprowadzonej w celu skompromitowania mnie bądź co bądź... Mimo to winy na mnie nie znaleziono

I... ty wiesz..., co wyrok potępiający sprowadziło... Ja to kiedyś opiszę...

Opowiadał długo—mówił, zamilkł, znów mówić zaczynał. Nazwiska nie wymienił ani jednego. Rozmowa ta—ta spowiedź koleżeńska i, po części, obywatelska, trwała godzin ze dwie. Wyniosłem z niej—powtarzam—to głębokie przeświadczenie, że się Kraszewski zbrodni stanu nie dopuścił. Była to kabała umyślnie na niego ukuta; a odnosząca się do jubileuszu krakowskiego. Ponieważ polacy postavili Kraszewskiego na świeczniku, jako wyobraziciela ducha narodowego, jako przedstawiciela moralnego narodu, jako—słowem—szteandar, należało szteandar ów błotem uwaląć. Nie można mu było zarzucić ani pijactwa, ani karcjarstwa, ani oszustwa, ani konspiratorstwa, obstawiono go przeto Adlerami i wyciągnięto na zbrodnię, do której w oczach gawiedzi przykleić można etykietę hańbiącą. Łatwem to było do zrobienia z powodu łatwowierności, jaką się nieboszczyk odznaczał. Wierzył, ufał wszystkim i każdemu, co się do niego zgłaszało. Ciekawym był wiadomości wszelkiego rodzaju, garnął się do nich, zbierał je, jak zbierał malowidła, rysunki, sztychy, wydawnictwa rzadkie i wszelkie okazy archeologiczne. Nie wymagało to więc dowcipu, ani zachodu wielkiego, ażeby przed nim dół wykopać i na dół ów go naprowadzić. Rozmyślając o tem, nie wydaje się to dziwnem zgoła. Co jednak zadziwia, to przyjęcie przez pewną warstwę społeczeństwa polskiego wyroku lipskiego w tem znaczeniu, jakie onemu prusacy nadali. Czy my nie wiemy, czem są w odniesieniu do nas wyznawcy religii politycznej autora Antimachiawela? Czyśmy zatracili własny o rzeczach sąd?

Wspomniałem o zbieraniu przez Kraszewskiego okazów archeologicznych. Zbieranie to posuwał do namiętności. W czasie pobytu jesiennego swego w Genewie nie zaniechał obejrzeć wszystkich, jakie miasto

posiada, handlów starożytności. Szukał i znalazł. Znalazł łyżkę srebrną ze znakami, świadczącymi, jako była wyrobu polskiego z czasów Zygmunta Augusta. Nabył ją i pochwalił się mi:

— Miałem sobie kupić spodnie... kupilem łyżkę...

Opowiadał mi o łyżce podobnej, znajdującej się w posiadaniu któregoś z członków rodziny jego—bodaj czy nie pana Kajetana.

Nie jestem w stanie dokładnie i szczegółowo powtórzyć wszystkich rozmów i opowiedzieć wszystkich ruchów Kraszewskiego, gdy po raz przedostatni w życiu swoim w stolicy nadlemańskiej gościł. Powiem jedno wogóle, że rozmowny był i ruchliwy.

W obradach kongresu udziału nie brał, luboć się niemi interesował. We względzie tym spuścił się na zastępstwo moje, sam zaś jeździł, oglądał galeryje, zbiory, pomniki, widoki—jednem się zachwycał, o drugim czynił spostrzeżenia krytyczne. Mocno, na przykład, ganił strukturę pomnika księcia Brunświckiego, chwalił zaś teatr i uniwersytet.

W Genewie bawił równo tydzień. W dniu wyjazdu przyszedłem do niego w celu odprowadzenia go na kolej. Poprzednio nie zastawałem przy nim nikogo; tym razem zastałem d-ra Tymowskiego, znanego mi dawniej, jakoteż damę jakąś, której nie widywałem nigdy. Kraszewski mnie damie przedstawił i powiedział mi nazwisko jej po niemiecku:

— Frau Heinitz...

Czytałem o niej w sprawozdaniach z procesu, alem nie wiedział, że w Schinznach i Montreux Kraszewskiemu towarzyszyła. Oglądałem ją z tą w ludziach zwyczajną ciekawością, z jaką się ogląda obistość, której nazwisko związanem jest z nazwiskiem takiej, jak Kraszewski znakomitości. Jestto kobieta w sile wieku, powierzchnowości ujmującej, przystojna i mocno już osiwiała. D-r T. krzątał się około wyprawienia waliz

i tłumoków. Kraszewski, ona i ja zasiedliśmy we troje i zawiązali rozmowę w języku niemieckim, która się pomiędzy Kraszewskim a mną zaczęła była po polsku. Zakomunikowałem nie przypominam sobie jaką wiadomość literacką. Ku wielkiemu zdziwieniu memu Kraszewski wiadomość tę powtórzył pani Heinitz po niemiecku i w ciągu dalszym rozmowa pomiędzy nami toczyła się w mowie Szyllera, ale o bieżącej literaturze naszej. Pani H. była o niej dokładnie oświadczoną i przyjmowała z zajęciem podawane przezemnie wiadomości. Na zapytanie Kraszewskiego, czym czego do druku nie przygotował, odpowiedziałem mu po polsku, że dał do *Kłosów* powieść pod tytułem: „Nad rzekami Babilonu.” Kraszewski odpowiedź moją powtórzył jej po niemiecku i nazwał mnie wedle pseudonimu mego literackiego.

— A... der Herr... Herr Jeż?...—rzekła.

— Będzie to coś biblijnego... żydowskiego — odezwał się po niemiecku do mnie.

— Nie... odpowiedziałem. — Babilonem nazywają Paryż; ale będzie tam i żyd figurował...

Kraszewski wziął z tego asumpt do mówienia o kwestyi żydowskiej, powiadając, że powinniśmy starać się łagodzić ją, żydów do siebie zbliżyć i ułatwiać im o ile możliwości zlanie się ze społeczeństwem.

— Jest w nich wiele... wiele złego, ale złe tego rodzaju nie usuwa się jątzeniem... Żydzi są zdolni... mają w sobie pierwiastek cywilizacyjny, który korzyść przynieść może... Zauważę tu, że ile razy o cywilizacji, o postępie była mowa, Kraszewski się niedwuznacznie za wyznawcę tego kierunku uznawał. Wszelako o pismach naszych postępowych nie mówił. Gdym mu raz o *Przeglądzie tygodniowym* wspomniał:

— Nie znam...—rzekł krótko i sucho.

Nie okazywał się jednak o wiele i na niektóre

z pism konserwatywnych łaskawym. Na wzmiankę, naprzykład, o *Roli* rzucił się i zawołał:

— To niewiedzieć col... niewiedzieć col... W tem za grosz sensu nie ma.

Stałem w obronie *Roli*, tłómacząc pożyteczność jej tem, że niekiedy do poruszenia zółci służy. Coś mi odpowiedział na to, ale nie przypominam sobie co.

Odprowadziłem go na kolej. Pożegnaliśmy się: „Do widzenia!”

Kraszewski z bytności swojej w Genewie w jesieni r. 1886-go pozostawił wśród nas wspomnienie dobre i mite. Przedstawił się mi ze strony innej nieco, aniżeli ta, z której go dawniej znałem, a o której napiszę we wspomnianej części drugiej. Odmianę stanowiło samo już garnięcie się do mnie, względem którego przedtem trzymał się sztywnie cokolwiek. Co to znaczyło? Jest w tem psychiczne do rozwiązania zadanie. To pewna, że Kraszewski szedł z prądem i nawet się niekiedy prądowi unosić dawał. Być może... Ale—nie. Niech kto inny w materji tej głos zabierze. W chwili obecnej pod wrażeniem świeżej straty, nie czuję się zdolnym do rozwiązywania psychicznych zagadnień. Rzeknę raczej słów kilka o wyglądanju Kraszewskiego przed pół rokiem.

Kraszewski miał pozór nie starca wiekiem złamanego, ale człowieka schorzałego, uginającego się pod ciężarem pracy. Chodził w pół pochyłony, jak Lelewel, a rysy oblicza nabrały familijnego podobieństwa do rysów Stanisława Worcela i jak ten ostatni, przy chodzeniu zadyszce podlegał. Często go kaszel męczył. Nie przeszkadzało mu to atoli być dosyć rażnym i żywym. Kiedy głowę podnosił i spoglądał, z błękitnego oka jego było wejrzenie młodzieńcze, poręczające niejako, że pożyje jeszcze lata i lata. I kto wie, czyby nie pożył, gdyby nie ta plaga elementarna, co nerwami

jego wstrząsnęła. Dziwnem i zastanawiającem jest rwanie się jego do Genewy. Gdy postrzał śmiertelny dostał, żadnej perswazyi nie przyjmował, nikogo słuchać nie chciał, do Genewy pędził i w Genewie dopiero oddał się w posłuszeństwo bezwzględne i bezwarunkowe.

II.

Kraszewskiego nazwisko pamiętam tak dawno, iż przez przybliżenie jeno oznaczyć mogę moment, w którym się po raz pierwszy o moje obilo uszy. Stało się to, kiedy dzieckiem jeszcze byłem i mieszkalem z rodzicami w okolicy, do której promienie dostawały się dłuższą, aniżeli gdzieindziej, drogą. Pobereże, gdiem światło dzienne ujrzał, leży na najbardziej od ognisk świetlnych oddalonym dawniej rzeczypospolitej krańcu. Książki do nas dochodziły, bądź z Kamieńca, zkąd je bryką brodzką na rozprzedaż wyprawiał księgarz, nazwiskiem Czech, bądź też z Kijowa, dokąd ojciec mój rok rocznie prawie na kontrakty jeździł. Owóz jedną z tych dwóch dróg, po utworach Bronikowskiego, Bernatowicza, Kropińskiego, Walter-Scotta, Krasickiego, równocześnie prawie z Brodzińskim, Mickiewiczem, z Czajkowskim Michałem, zawitały pod strzechę naszą książki z podpisem: J. I. Kraszewski. Nazwisko to sprawiło wrażenie — wrażenie, które szybko wzrastało i potęgowało się. W latach czterdziestych, ba nawet pod koniec czwartego wieku naszego dziesięciolecia, było ono już szeroko w zapadni naszej znane. Powieści jego ze wzmagającym się czytano zapa-

łem. Szlachcice, z kontraktów wracając, przywozili je do domów pakami całemi. Nie miał spokoju ze strony zwłaszcza dorosłych i dorastających córek ten, co obok kawioru, śledzi holenderskich, konfitur od Bałabuchy, skórek na trzewiki i sprawunków innych, nie przywoził w żółtych, w nieużywany dziś sposób illustrowanych okładkach, książek z Kraszewskiego podpisem. W ruchu umysłowym, jaki się był w czasie owym obudził, odegrały one rolę ważną—służyły za podniecie, akcentowały grę wrażeń, co zaś ważniejsze, nie bladły ani trochę wobec dzieł cięższego wagomiaru, rzucanych pomiędzy czytelników prowincjonalnych przez potentatów takich, jak Jarosz Bejła lub Michał Grabowski. Czytały się z zajęciem, z zapalem nawet, przez pleć piękną szczególnie. Płeć niepiękna w bałagulskim roztargnieniu nie koniecznie się z książkami wdawała. I ona atoli wciągała się powoli—wciągana bowiem była przez panny na wydaniu mające posagi donośne. W sąsiedztwie naszym, na przykład, jeden z młodych L., gdy serce jego rozgorzało do panny E., posiadającej pięćdziesiąt tysięcy złp., które mu koniecznie do uporządkowania stajni i psiarni potrzebne były, dla podbicia serca jej, kupił sobie pół tuzina powieści Kraszewskiego, woził się z niemi po jarmarkach, polowaniach i chwalił się, że je czytał. Kraszewski większe jeszcze cuda czynił—poetów tworzył. W Humańszczyźnie mieszkał szlachcic młody, noszący nazwisko autora „Myszeidy,” podobno nawet jakiś jego krewny. W Humańszczyźnie też mieszkała panna, której na imię było Joanna, przez przyprawione na sposób francuski spieszczenie przerobione na Żańcia; nazwisko zaś jej, kończące się na... „acka.” dla zamaskowania nazwiska prawdziwego, przeinaczymy na Nowacka. Owa Żańcia Nowacka tak się w Kraszewskim rozczytała, że się w nim rozkochała. Nie oglądała go w życiu nigdy. To jej atoli zgola nie przeszkadzało pokochać go ser-

cem ciałem i duszą całą i kochać do tego stopnia, że wzięła przed się postanowienie, zamął nie wychodzić i wychowaniu sierot ubogich się poświęcić. Piękne to postanowienie nie dogadzało krewniakowi biskupa-poe-ty, pragnącemu gorąco za małżonkę ją pojąć. Natknął się na spółzawodnika, którego zaćmieć w stanie nie był, ani piątką w lejc, ani koczem wiedeńskim, ani krawatem osobliwym, ani żadnym ze sposobów, w jakie kawalerowie na Ukrainie serca panieńskie podbijali. Przytem spółzawodnik ów niewidzialny był i niedotykalny. Ażeby go jednak usunąć, trzeba z nim było spółzawodniczyć—walczyć—walczyć bronią równą, kawaler próbował pisać prozą. Pisał, kleił—nie szło mu. Zwrócił się do poezyi i ta mu dopisała — dopisała tak dalece, że rozmowę zwyczajną z ludźmi, a nawet z ekonomem, lokajem, furmanem, kucharzem swoim, prowadził rymami. Rymami też przemawiał do wybranej swojej. Przemawiania jego podchwytywano, przera-biano i powtarzano. Zawodniła się niemi okolica. Umiałem tego niegdyś dużo na pamięć. We wspomnie- niach pozostało mi jedno tylko:

„Idę ja sobie przez pola; patrzę, aż oto topola.
Podchodzę bliżej—patrzę zniennacka:
To nie topola, to Żania Nowacka.“

Złośliwi dorobili dwa wiersze:

„Moja ty piękna, moja ty wzniosła
Na coś ty taka długa wyrosła?“

Nie ręczę atoli, czy i te dwa wiersze kompozycyi jego nie były. Nic to mu jednak nie pomogło. Serca panny rymami nie podbił. Żańcia pozostała wierną miłości dla Kraszewskiego; pozostawała jej wierną długo, długo; przysposabiała się do wychowywania

sierot; w końcu atoli — zamąż poszła. Komuś oddała rękę; czy z ręką i serce?... — nie wiem.

Płeć piękna u nas (mówię o Pobereżu, Humańszczyźnie, Braclawszczyźnie) pierwsza do Kraszewskiego przyłgnęła. Do niej on najprzód trafił i przez nią w popularność rósł, rozpowszechniając potrzebę czytania. Ktoś, co pierwszy powiedział, że on czytać nauczył, powiedział czystą prawdę. Lekka strawa, którą publiczności dawał, budziła umysły z uśpienia i przysposabiała je do przyjmowania pokarmów esencyjonalniejszych. Nie wycisnęła ona jednakże, jak utrzymują gdzieniektórzy, lektury francuskiej. Te sfery, co się nią karmiły, karmi tej nie rzuciły — Balsaca na Kraszewskiego nie mieniały; lecz dzięki Kraszewskiemu, powstawały czytelników zastępy nowe, rekrutujące się z tych, co i po francusku nie umieli i bądź nic nie czytali, bądź też zadawali się piśmiennictwem, powstałem w epoce Stanisława Augusta. Pochodziło to ztąd, że nie było pośrednictwa pomiędzy piśmiennictwem a publicznością; dziennikarstwo dla prowincyi nie istniało: na okolicę naszą, a bodaj czy nie na cały powiat Bałcki, jeden tylko szlachcic, niejaki Lipiński, gazety prenumerował i otrzymywał. Dochodziły bo one w kopertach i opłacały transport pocztowy wedle taksy na listy — co je bardzo kosztownemi czyniło. Świat przeto dla nas deskami był zabity i przez te to deski przetrzczał Kraszewski powieści swoje, które kobiety chwytaly i w kurs puszczały.

Płeć męzka miała to zrazu za zabawkę, urozmaicającą robotki szydełkowe i krosienkowe. Wolala karty. Fakty atoli takie, jak zniewolenie L. do kupienia sześciu powieści, jak rozkochanie się w niewidzianym panny Żańci i tym podobne, to sprawiły, że i płeć męzka książkę do ręki imać poczęła. Powieści Kraszewskiego szły w obieg, rozchodziły się po dworach i dworkach; z rąk panieńskich dostawały się do rąk

paniczów i, obczytane, przechodziły *via* kredens i garderobę, pod strzechy ekonomskie, na posilek dla ekonomówien, praktykantów gospodarskich i pisarzy prowentowych. Ci co nic do czytania nie mieli — czytali.

Działo się to w warstwie społecznej średniej — w sferze szlachciców na jednej wiosce, dzierżawców, oficyjalistów, po kolokacyjach, nie dochodząc do stanu włościańskiego, o oświecaniu którego mowy jeszcze zgoła w czasie onym nie było. Na progu chłopskim literatura wszelaka zamierała; progów zaś wielkopańskich nie przekraczała literatura polska. Wielkim panem w okolicy naszej był Karol Brzozowski — człowiek dobry, patryjeta nawet, — ojciec Zenona, co ze Słowackim w ścisłych pozostawał stosunkach. W domu jego jednak książka francuska prym nad polską trzymała. Rodzina, jak rodziny Potockich, Komarów i in., czasu dużo spędzała za granicą i zapewne ani wiedziała, co się w kraju na polu literackiem dzieje, przypuszczając może, że literatura polska wyniosła się wraz z Mickiewiczem, Brodzińskim, Mochnackim, Słowackim, Lelewalem i innymi. Z mniemaniem tem spotkać się można obecnie nawet. Dziś jeszcze w Paryżu istnieją w sobie zamknięci polacy, co o czasach pomickiewiczowskich nic nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Nic przeto dziwnego, że w okresie roku 1840, w rodzinie wielkiego pana, spędzającej więcej czasu za granicą, aniżeli w kraju ojczystym, uznawano Mickiewicza, czytywano Balzaca i nie słyszano o Kraszewskim. Rodzina ta wchodziła w czasie onym w stosunek matrymonijalny z rodziną Zamojskich. Członek tej ostatniej Andrzej, przyjechał na Podole. O przyjeździe jego wieść się po okolicy rozniosła i po dworach szlacheckich opowiadano, jak to Andrzej Zamojski, naprowadziwszy rozmowę na materję literatury, odczytał głośno w salonie Brzozow-

skich powieść Kraszewskiego i zachwycił nią słuchaczy. Opowiadanie to nie mały w okolicy naszej wywarło wpływ i wsparło potężnie wpływ kobiet. Czytanie straciło charakter zabawkowości. Garnąć się poczęli do niego moszterdzieje i moszterdziejki — weszło ono do stosunków. Sąsiadki, odwiedzając się, po wyczerpaniu materii, tyczącej się uprawy jarzyn, sadzenia kur, wogóle gospodarstwa domowego, jakoteż chorób nadzwyczajnych i pelerynek w ząbki czy też ząbków, zapytywały jedna drugiej:

— A czytała pani dobrodziejka (naprzykład): „Dwa a dwa cztery?...“

Jakkolwiek odpowiedź wypadła, twierdząco czy przecząco, o powieści tej zawiązywała się rozmowa i jedna z sąsiadek drugiej treść onej szczegółowo opowiadała, przyozdabiając opowiadanie wykrzyknikami: „Jakie to piękne!...“ „Jakie to śliczne!...“ „Jak to on to napisał!...“ Opowiadanie powieści Kraszewskiego weszło po dworach szlacheckich w użycie powszechne. Celowała w tem między innemi jedna z ciotek moich, która sztukę tę do takiej doprowadziła doskonałości, że słuchaczy zameczała, mimo, że z naracją łączyła giestykulacją odpowiednią. Rzecz prosta, z zajęciem, jakie książki wzbudzały, łączyła się ciekawość, co do osoby autora. O Kraszewskim różne, nierzadko dziwne, krążyły wieści. Ożenienie jego nastąpić miało w sposób jakiś nadzwyczajny. Opowiadano, że mu w ogrodzie pokazuje się postać cała w bieli. Postać jego otaczała legendarność, która na kolorycie traciła w miarę, jak obok niego jakoteż z po za niego, wynurzać się na widownię poczęli pisarze inni. On jednak zawsze prym trzymał — z raz zajętego stanowiska nie ustępował ani Rzewuskiemu, ani Grabowskiemu (Tarszy), Grozie, Padalicy, Sztyrmerowi, ks. Jankowskiemu, ani nawet Józefowi Korzeniowskiemu. Pojawianie się

ich atoli moderowało pierwotny do Kraszewskiego zapach. Czytelnictwo się rozszerzało, rozkładało i w krytyczne zaopatrywało poglądy.

Co się osobistych moich z Kraszewskim stosunków tyczy, nie sięgają one tak daleko. W roku 1841, czy 1842, gdym liczył lat nie więcej jak osiemnaście i kończył gimnazjum w Niemirowie, spróbowałem pisania powieści. Napisałem i rękopis Kraszewskiemu do Athenaeum posłałem. Nie wiem, co się z utworem tym stało — nie pamiętam nawet, jaki mu nadałem tytuł: poczęty on i dokonany został pod wpływem powieści „Poeta i Świat.“ Próbę ponowiłem w piętnaście lat później, lecz już pod wpływem innym, oderwawszy się od literatury polskiej krajowej w r. 1848 na całych lat dziewięć. Przez czas ten nie wiedziałem, czy i co się na polu literackiem robi. Wszedłem na nie ze strony innej i zabrałem z autorem „Poety i świata“ znajomość literacką na nowo, gdy do spółzawodnictwa z nim stawali Józef Dzierzkowski, Zacharyjasiewicz i Kaczkowski. Spotkałem się z Kraszewskim na drodze literackiej zdaleka i nie szukałem z nim zbliżenia dlatego, że czułem w nim przeciwnika wierzeń i przekonań moich. Usuwałem się nawet od niego. Gdy redakcją *Gazety Codziennej* objął, zakolatał do mnie za pośrednictwem bratanka swego stryjecznego, Stefana Kraszewskiego, człowieka wielkiej zacności, z którym się w r. 1859 w Paryżu zeszedłem i zbliżyłem. Stefan mówił mi o nim dużo — przedstawiał go, jako człowieka, gotowego spłonąć ogniem świętym. Mimo to wymówiłem się od współpracownictwa w piśmie, pozostającym pod dyktando autora *Wieczorów Wolskich*.

W roku 1864 mieszkalem chwilowo w Paryżu; wieczorami na obiady bądź do Janka, bądź gdzieś indziej chodziłem. Wieczoru pewnego, gdym dosyć późno do domu powrócił, zastałem kartę wizytową Kraszewskiego z dopiskiem ołówkiem, wymieniającym hotel, do

którego zajechał, z dodatkiem, że go w domu do dziesiątej rano zastać można. Nazajutrz to-tej nie czekałem. O dziesiątej, wcześniej może do numeru zapukałem. Z głębi, po francuzku wymówione, usłyszałem zapytanie:

— Kto tam?...

— Jeż!...—odpowiedziałem po polsku.

— A!...—odezwał się głos ze środka. Poczekaj!...

W chwili tej klucz w zamku zgrzytnął, drzwi się uchyliły, przez szczelinę wysunęła się rękawem od koszuli wpół okryta ręka, która mnie za klapę od palto-ta pochwyciła i wciągnęła.

Próg przekroczwszy, ujrzałem się wobec człowieka, co wprost z łóżka w koszuli jednej i to nie nocnej wyskoczył. Człowiek ów, nie puszczając palto-ta mego, do kanapy mnie poprowadził, posadził i sam obok usiadł. Po chwili zerwał się, szlafrok pochwycił, na opaski go wdział, znów usiadł i bez wstępów, bez przygotowań, bez omawiań żadnych, następujące mi w słuch wsunął wyrazy:

— Wiesz... nie ma co... Poruszyć powinniśmy niebo i ziemię!...

Ostupałem. Spodziewałem się raczej wszystkiego, aniżeli przy pierwszym w życiu z Kraszewskim zetknięciu się z ust jego wyrazy podobne usłyszeć.

Wyrazy podobne w czasie owym obijały się mi o uszy niekiedy. Wypływały one nawet z ust ludzi, co myśleli inaczej. Jeden naprzykład z hrabiów galicyjskich—mał stanu — dowodził mi potrzeby wyrznięcia szlachty. Czuć się w tem jednak dawała fałszywa nuta. Wiedziałem, że ów rznięcia szlachty ochotnik odegrywał przedemną rolę dyplomatycznej przebiegłości i wyobrażał sobie, że mnie na muchę bierze. Uchodziłem wówczas za mocno czerwonego, luboć nigdy ani myślą, ani słowem, tem mniej zaś uczynkiem, nie dawałem prawa do posądzania mnie o intencyje

rzeźnicze. Posądzanie szło ze strony takich, co mnie nie czytali, ani słyszeli nigdy i wogóle o prądach opinii mieli wyobrażenie mało co dokładniejsze od tego, jakie wilcy mają o astronomii. W sferze tej urobiła się była o mnie opinija demagoga—demagog zaś w pojęciach owoczesnych niekrwiożerczym być nie mógł. Awanse przeto dyplomatyczne tego rodzaju, z jakim mnie ów hrabia spotkał, puszczałem zazwyczaj mimo uszów, nieprzywiązując do nich wagi najmniejszej. Kłamliwość ich zresztą zanadto była wyraźną. W ustach atoli Kraszewskiego taka zabrzmiała szczerłość i tak to na mnie niespodzianie spadło, że, jak powiadam, osłupiał. Na odpowiedź w pierwszej chwili zdobyć się nie mogłem. Nie odpowiadałem też zrazu nic—słuchałem. Kraszewski mi wykladał. Ze słów jego poznałem, że wytworzył sobie tecryją, wysnutą na wielkiej rewolucyi francuskiej. Tłómaczył mi, że pozbywając się względów wszelkich, z czterech rogów Europy ogień podłożyć należy i odtworzyć rewolucyją francuską na szerszą, na europejską skalę. Obraz, jaki na tle tem kreślił, uderzał wielkością rozmiarów. Wykładu tego słuchając, ochłonałem z wrażenia pierwotnego. Następnie jałem się ten wyskokowy wniosek jego łagodzić w tem przeświadczeniu, iż było to nabrzmiałe w głębi prawdą uczucia uniesienie, któremu się uwlec dawszy, nie obliczył zamiaru wedle sił.

Mówiliśmy ze sobą długo—długo—wkońcuśmy się porozumieli. Dusza Kraszewskiego przedstawiła się mi w całej swojej—że się tak wyrażę—posagowej nagości. Był to człowiek z prądem, a raczej za prądem idący, ale zdolny do uniesień, popychających go do wyprzedzania prądu. Dla bijografa jego ta ze mną rozmowa ma—zdaniem mojem—znaczenie ważne. Charakteryzuje go ona. Dlatego ją zaznaczam w rysach głównych,—szczegółów, rzecz prosta nie pamiętam. Pamiętam jeno, najpierwsze, jakim z ust jego usłyszał wyrazy. Te mi

się w pamięć wbily tak, że dotychczas niemal w uszach mi brzmia. Wedle nich sądząc, biorąc obok tego na uwagę okoliczności owoczesne, o Kraszewskim, jako o członku społeczeństwa, powiedzieć można, że za prądem ogólnym szedł a wrażenie chwili na niego oddziaływało i naprzód go wypychało. Wątpliwości najmniejszej nie mam, że gdyby mógł, byłby w momencie owym ze czterech rogów Europę podpalił. Wyperswadować mu potrafiłem, że na razie jestto rzecz niemożliwa. Rozstaliśmy się, jak ci, co „znali się z sobą nie długo, lecz wiele.“ Na rozstaniu powiedział mi, że w Dreźnie zamieszkał, adres mi swój dał i po razy kilka powtórzył:

— Rozporządzajcie mną... jestem na usługi wasze... jestem całkowicie na usługi wasze...

Za takiego przedstawiał mi go Stefan, alem Stefanowi nie dowierzał, myśląc, że się łudzi, jako krewny bliski. Nie łudził się. Zrozumieć łatwo, dlaczego o poznaniu się mojem z Kraszewskim za życia jego nie opowiadał, a raczej (opowiadać bowiem opowiadałem), dlaczego o niem nie pisał. Obecne tajemnicy tej wyjawienie wydać się może komuś przesadą, jeśli nie czem gorszem. Są łaskawce gotowi świadectwo moje w wątpliwość podać. Na szczęście dla mnie, owoczesny nastrój moralny Kraszewskiego poświadczyć mogą inni, co się pokaże z opowiadania następującego.

Wypadki sprowadziły nas znów w tygodni kilka później w Dreźnie, gdzie połączyć się miałem z żoną moją, z Czortkowa z dzieckiem podążającą. O wszystkim tem wiedział Kraszewski, który ani fatygi, ani czasu nie żałował w wynajdowaniu ludzi, przesyłaniu depesz, zasięganiu wiadomości, w oddawaniu mi posług wszelakich.

Widywaliśmy się po razy kilka dziennie. Mieszkał na prawym brzegu Elby. Przyjął mnie na pierwszym

piętrze, w gabinecie swoim. Był to średniej wielkości pokój, zastawiony stołami, zawałonymi książkami. Panował w tem nieład, noszący na sobie cechy tymczasowości. Na podłodze z kilku otwartych i półotwartych pak wyglądały książki. Pod ścianą, przy oknie stało biurko, a na niem również widzieć się dawały książki, rozłożone w półkole, którego środek zajmował rękopis, położony w sposób taki, jak się układa papier do pisania. Paki i stoły sprawiały w pokoju ciasnotę.

Podszedłem do biurka — okiem rzuciłem. W oko przede wszystkim wpadły mi w rękopisie szeregi, znamionujące wiersze. Nachyliłem się ku książkom. Miejsce środkowe zajmowała *La Divina Comedia* Danta po włosku, obok leżała „Boska Komedyja” w tłumaczeniu niemieckiem, z drugiej strony we francuskiem, z przodu w angielskiem, dalej w polskiem—wszystkie otworzone na jeden i ten sam ustęp.

— Danta tłumaczycie?...—zapytałem.

— A tak...—odrzekł.

— Korsak...—odezwałem się, przypominając świeżą poety tego pracę.

— Tak... no... Dante jednak zasługuje, ażeby go tłumaczyć i tłumaczyć... Probuje i ja...

Wydawało mi się rzeczą całkiem naturalną, że człowiek, do pracy literackiej wciągnięty, z chwil swobodnych wśród wrzawy korzysta i na tłumaczenie je obraca. Coś podobnego raz w życiu zdarzyło się i mnie. Jest to posługiwanie się wyobraźnią cudzą, kiedy moja w zahukaniu i roztargnieniu funkcjonować nie może. Poprosiłem Kraszewskiego o pozwolenie spojrzenia na rękopis. Pozwolił. Przebiegłem oczami stronicę w trzech czwartych zapisaną. Z trudnością mi przychodziło czytanie po raz pierwszy widzianego oryginalnego pisma jego. Przy czytaniu do słuchu mego doszły dźwięki fortepianu. Ktoś się w pokoju obok w gamach ćwiczył.

— Piękne przedsięwzięliście dzieło... — rzekłem.

Zadałem następnie zapytań kilka, tyczących się technicznej tłómaczeń strony i zapytałem:

— A powieści... co?... piszecie?...

— Piszę...

— Piszecie?...—zawołałem zdumienia pełen.

— Jaby'm bez tego wyżyć nie mógł...—była odpowiedź.

Czesi przybyli w liczbie trzech. Dwóch nazwiska z pamięci mi wypadły; trzecim był Tonner. Interes z nimi załatwiłem i, ponieważ wyjazd ich wypadł nazajutrz, postanowionem zostało, na propozycją nie pomnę czyją, wieczór spędzić razem. Ten, co propozycją uczynił, uczynił ją w imieniu Kraszewskiego i w imieniu jegoż dał adres traktyjerni w tym rodzaju, który w Paryżu nazywają *tavernes*, gdzie byśmy wspólnie wieczerę spożyli. Zeszliśmy się w oznaczonem miejscu, i w oznaczonej godzinie—czechów trzech, polaków pięciu. Wieczera była nie zbyt kowna, ale suta. Przy deserze Kraszewski głos zabrał i wypowiedział, odczytał raczej, mowę nie tak brutalnie rewolucyjną, jak wyrazy, którymi mnie za pierwszym ze mną poznaniem się w Paryżu powitał, ale rewolucyjną nawskroś, na wylot. Nie pamiętam, z wyjątkiem Tonnera, nazwisk tych polaków i tych Czechów, co w biesiadzie tej udział wzięli. Nie jeden z nich zapewne przy życiu pozostaje i przypomina sobie w osnowie głównego przemówienia Kraszewskiego, znamionujące w psychicznej naturze jego rys, który się spostrzegać daje i w Mickiewiczu.

Mickiewicz także był rewolucjonistą czerwonym od najczerwieńszych. I on także z prądem szedł—prądami uwlekać się dawał i takowy wyprzedzał,—tylko się w prądzie innym trzymał. Słowackiemu, a jeżeli w przeszłość dalszą sięgniemy, to i Kochanowskiemu również rysu tego nie brak. Zasluguje on na to, żeby się nim zajął psycholog, co z punktu nau-

kowego analizować będzie duchową stronę tego zmarłego, który był pod względem każdym człowiekiem niepospolitym. Kraszewskiemu na przemówienie odpowiedział z czechów jeden po czesku, Tonner po polsku, wreszcie głos zabrał z polaków jeden; następnie pozostaliśmy jeszcze czas jakiś przy stole, prowadząc gawędkę; gdyśmy się zaś rozchodzili i gdyśm za siebie zapłacić chciał, dowiedziałem się, że za wszystkich nas zapłacił Kraszewski.

W czasie kilkudniowego pobytu mego w Dreźnie oddawał on mi wszelakie, takie nawet, jakichbym od niego żądać nie śmiał, przysługi. Dowiedziawszy się, że na żonę czekam, wyrachował te pociagi, którymi ona z Krakowa nadjechać może; na spotkanie jej na kolej chodził i przyniósł mi wiadomość, że austryjacy do Drezna jej jechać nie pozwolili, ale ją tak zwanym *Zwangpassem* do Monachium wyprawili. Była to prosta szykana, podobna do tej, której się dopuścili Niemcy, nie pozwalając zwłok Kraszewskiego wieść przez terytoryjum cesarstwa. Wart Pac pałaca. Dzięki szykanie tej, musiałem do Monachium śpieszyć. Kraszewski mnie na dworzec kolejowy odprowadził i, żegnając, powtarzał:

— Rozporządzajcie mną... jestem na usługi wasze...

— Kończcie tłómaczenie Danta... piszcie...—odrzekłem, dłoń mu ściskając.

Rozstaliśmy się. Oparłem się aż u ujścia Sawy w Belgradzie, gdzie w ciągu półtrzeciarocznego pobytu, bieda mi się we znaki dała mocno i z kąd z Kraszewskim zamieniłem list jeden w materyi honoraryjów autorskich. Mimo, żeśm już był w autorstwie głęboko ugrzązł, strona rachunkowa rzemiosła była jeszcze obcą prawie. Prosiłem go we względzie tym o informacje, których mi udzielił i w tym czasie okresie więcej z nim stosunków listownych nie miałem.

W r. 1866 z Belgradu przeniosłem się do Brukselli dla zamierzonego wydawania przeglądu (*Revue orientale*), którego mi ofiarowano dyrekcją. Myślałem o pozyskaniu dla pisma pióra Kraszewskiego. Projekt ten wszelako spełził na niczem z powodu, że wydawnictwo do skutku nie przyszło.

W Brukselli, w dochodzących mnie pismach i książkach polskich śledziłem rozwijającą się na rozmiary zdumiewająco szerokie działalność literacką Kraszewskiego i dośledziłem z łatwością wejścia jego w prąd inny, aniżeli ten, w jaki był wpadł w r. 1864. Mnie to ani zdziwiło, ani oburzyło; ale—uradowała i żywo zainteresowała w kurs puszczonej przez dzienniki wiadomość, że Kraszewskiemu zaproponowaną została katedra literatury polskiej w uniwersytecie krakowskim. Chciałem do niego w materji tej pisać; nie pisałem—nie wiem dlaczego; dlatego może, że to, co z pod pióra jego w czasie tym wychodziło, znajdowało się w dysharmonii z tem, com z ust jego w Paryżu i w Dreźnie słyshał. Polemizowałem z nim w dzienniczku polskim, który czas jakiś redagowałem,—przycinałem mu ostro—on mi nie odpowiadał na to. Brałem to w tym sensie, że stosunków ze mną mieć nie chce. Nie narzucałem się. Niemniej przeto, cieszyło mnie ofiarowanie mu katedry i, gdy dzienniki przyniosły mi wiadomość, że się w przyjęciu onej waha, uwierzyć temu nie chciałem.

Działo się to w okresie sławnej, owej wielkiej, wszechświatowej wystawy paryskiej, na którą Napoleon III zaprosił był monarchów całej kuli ziemskiej. Na wystawę tę pojechałem w charakterze sprawozdawcy *Kłósów*. W Paryżu zjechałem się z panem Lewentalem. Gdym był z tym ostatnim razu pewnego w pałacu wystawy, natknąłem się niespodzianie na Kraszewskiego, chodzącego w towarzystwie Bronisława Zaleskiego. Zaledwim go zobaczył, wnet pana L. opuściłem, poskoczyłem do niego, pod ramię go ująłem

i, na strong nieco odprowadziwszy, wpadłem nań obces z zapytaniami:

— Czy to prawda, że wam katedrę w Krakowie ofiarują?...

— Prawda...—odrzekl.

— Czy to prawda, że się z przyjęciem jej wahaćie?...

— No...—nie wiem... tak... waham się...—odpowiedział, jak odpowiada człowiek, co nie chce dać odpowiedzi wyraźnej.

— Czemu?...—zapytałem.

Z punktu tego wywiązała się pomiędzy nami rozmowa—dyskusya raczej, która trwała z godzinę z górą. Jak się spodziewać należało, Kraszewski objekcyje rozpoczął od obniżania udolności własnej.

— Czy podołam?...

Nie pamiętam, com mu na to odpowiedział; odpowiedź atoli moja zawierać w sobie musiała argumenty przekonywające, albowiem Kraszewski wysunął naprzód tę racyją, że obok wykładów nie będzie mógł zajmować się pracą literacką.

— Jak długo?... — odparłem — lat trzy, najdlużej, póki się nie wciągniecie w wykładanie... Publiczność nic na tem nie straci, że przez lat trzy poczeka na produkcyje wasze... Przez ten czas zasilicie sobie umysł i wyobraźnię i z nowemi siłami rozpoczniecie na nowo działalność literacką...

Dawałem mu za przykład Lelewela; odwoływałem się do poczucia obowiązków obywatelskich; przypuszczam, że byłem wymowny, rozstałem się z nim bowiem w tem przekonaniu, że go przekonał. Jakżem przekonania tego mieć nie miał, kiedy mi słowo dał?

Tak—Kraszewski mi słowo dał, że katedrę literatury polskiej w Krakowie objąć się postara.

Co się stało, że jej nie objął? *). Czy powód wyszedł od niego? — czy od senatu uniwersyteckiego? — czyli też od ministerstwa oświaty? Na zapytania te odpowiedź znajdzie się może teraz dopiero po śmierci jego. Nie sądzę bowiem, by słowo dawał mi dlatego tylko, ażeby się zbyć natręta. Nie przypuszczam tego pomimo, że w spotkaniu tem zachowywał się ze mną sztywnie—wiał ku mnie od niego chłodem. Gdyśmy się on ze swoim, ja ze swoim towarzyszem zeszli, Kraszewski zapoznał mnie z Bronisławem Zaleskim, z którym, mówiąc nawiasem, spotkałem się w życiu razy cztery, zapoznawałem się razy cztery, ale nie zamieniłem z nim wyrazów czterech. Coś nas zdala jednego od drugiego trzymało mimo, że m wiedział, że był to człowiek rozumny i zacny. Gdym się z Kraszewskim w palacu wystawy rozszedł, już go więcej w Paryżu nie spotkałem.

Nie spotkałem go, aż w lat dziewięć później, w Montreux, dokąd przyjechałem był z żoną i dziećmi, celem odwiedzenia państwa Henrykostwa Lipkowskich, bawiących tam dla kuracyi z matką pani, Pulcheryją Zakrzewską z domu, moją z lat dziecinnych znajomą. O pobycie Kraszewskiego dowiedziałem się przypadkowo, od jakiegoś młodego człowieka. W liście cudzoziemców wyszukałem adres jego i poszedłem do hotelu. Zastałem go w towarzystwie pana R. (odziejwicz?) malarza. Malarz wyglądał na oczajduszę. Obydwa na krótkich antypkach fajki ćmili. Natrafiłem na rozmowę, która mi przykrości trochę sprawiła. Mówili o niej jakim

*) Przez to, że Kraszewski katedry literatury polskiej w Krakowie nie objął, stała się wielka uniwersytetowi krzywda. Nie taż to głównie katedra świątynię nauk w arenę polityczną zmieniła? Gdy sobie przypominam, jak gorąco pragnąłem, ażeby ją Kraszewski objął, chce się w przeczcucia wierzyć.

R. P., kręcącym się między polakami i opowiadającym, że mu rzeźmieszką w wagonie torbę z pieniędzmi oderznięli i bez grosza go zostawili, a on miał do owczarni księcia Repnina barany kupować i zostawił żonę w Schlangenbad w kąpielach. Pokazywał mi listy, świadectwa, paszport i kołatał u spółziomków o franków kilkaset na dwa tygodnie.

— Cóż to za jeden?... — zapytałem zaniepokojony nieco.

— Oszust... — odrzekł malarz. Ho... ho... z pyska mu to widać...

— Zgłaszał się i do mnie... — rzekł Kraszewski — znam się jednak na wypadkach tego rodzaju...

— Zgłaszał się on i do mnie... — odezwałem się.

Nie dodałem wszelako, że mu kilkaset franków „na dwa tygodnie” dał, na co on mi wystawił rewers, który u mnie do dnia dzisiejszego leży. Wstyd mi było, że się załapać pozwolił, luboć pewny jeszcze nie byłem, że rewersu na pieniądze nie wymienię.

Malarz rozmowę prowadził—treść onej z pamięci mi wypadła. Kraszewski fajkę kurzył i prawie się nie odzywał. Żeby go na słowo wyciągnąć, wziąłem asumpt z leżących na stole przyborów do pisania i zagabnąłem o korespondencyje, które mi Kraszewski pisma polskie zasiłał.

— Korespondencyje z Montreux nawet?...

— A cóż?... — odpowiedział i zapytał mnie, jakim ja piórem pisuję.

— Stalowym... — odrzekłem.

— A ja gęsim... Do stalowego nawyknąć nie mogę... Cóż chcecie?... Nie mogę i nie mogę... Próbowałem...

Nad tem, że piórem innem, jak gęsim, pisać nie może, rozwodził się długo—dłużej jak potrzeba. Zajmującą wprawdzie było rzeczą dla kolegi po piórze jednego, dowiedzieć się, jakim się piórem posługuje

drugi. Wyglądało to wszakże na to, co francuzi nazywają: *fin de non recevoir*. Pożegnałem więc Kraszewskiego niebawem; na pożegnaniu zapytał mnie o adres i, kiedy by mnie odwiedzić mógł.

— Jestem z wizytą u Lipkowskich... Do Lozanny odjeżdżam pociągami wieczornym...

— A tak... słyszałem, że w Lozannie mieszkacie...

— Mieszkam w Lozannie i zamawiam tam sobie odwiedziny wasze; tymczasem jednak, gdybyście zajęć do Lipkowskich chcieli, uradowalibyście i ich i nas, z żoną bowiem jestem...

— A?... no... Jakżeby to zrobić?...—zwrócił się z wyrazem zapytania w oczach do malarza.

Malarz program ułożył, co mu z łatwością przyszło; pokazało się bowiem, że Kraszewski, pozostający na kuracyi winogradowej, zażywać musi codziennie przechadzki i przechadzkę odbywa na drodze, przechodzącej mimo domu, zajmowanego przez Lipkowskich. Jest to ta droga rozkoszna, co brzegiem jeziora Lemañskiego, wśród pejzażów alpejskich, z Montreux do Chillon prowadzi. Wzdłuż niej „kapia bluszcz i róże“ i mknie widmo tej łodzi, na której płynął autor „Przedświtu“— i widnieją kontury tych gór, w których autor „W Szwajcaryi,“ „pod jasną tęczą różnofarbnej bramą,“ spotkał kochankę „pełną w sobie anielskiego świtu.“

W Szwajcaryi dla nas to jest osobliwego, że przywiązane są do niej wspomnienia: Krasińskiego, Słowackiego i Mickiewicza. Wspominam o tem mimochodem i wracam do opowiadania.

Lipkowskim sprawilem uradowanie ogromne, gdym im oznajmił o mającym ich spotkać zaszczycie. Kraszewski w towarzystwie malarza nadszedł w godzinie oznaczonej.

Ze spotkania w Montreux pozostało mi jeno wspomnienie postaci tego pracy olbrzyma — postaci szczupłej,

wątlej i nie pozwalającej się domyślać sił, jakie zawierała w sobie.

Chorym się czuł, leczyl się bowiem, wyglądał wszelako nietylę na chorego, co na znudzonego i zmuszającego się do uprzejmości towarzyskiej. Uprzejmością okazywaną dogadzał tym, co go innym nie znali. Mnie atoli nie wystarczała ona. Rozumiałem, z kąd pochodzi maska, w jakiej się przedstawił. Nie wkładałby jej, gdyby nie obecność moja. Przymuszał się dla mnie. Ponieważ mu złożyłem wizytę, więc mnie rewizytował—formalności etykietalnej zadość uczynił; gdyby jednak na miejscu mojem znajdował się kto inny, sam Lipkowski na przykład, w formalność byłby wlał duszę i serce, jak ongi dla mnie wlewał je w Dreznie. Rozmowa się nie kleiła, utykając na widokach, pogodzie, winogradzie, chorobach. Ożywiła się nieco na wzmiankę o Żytomierzu, gdzie Kraszewski znał stryja pana Henryka. Odsiedział regulaminową półgodzinę, pożegnał się i do Chillonu poszedł.

W Lozannie, gdzie się nie zatrzymać, dla katedry, galeryi malowideł i handlów starożytności, nie mógł, u mnie nie był.

Wyraźnie mnie unikał—dlaczego?—Czy się gniewał?—czy powodowała nim zawiść rzemiosłowa? Anijedni drugie. Był to pisarz zanadto wytrawny, ażeby nie znał reguł polemiki i krytyki i mógł żal mieć do mnie za kilka okolicznościowych przycinków, które stanowiska jego zachwiać nie były w stanie. Na zawiść zaś miejsca, ani racyi nie było. Jam mu podrywu nie czynił—to raz, a powtóre, zawiści nie było w Kraszewskiego naturze. Ileż to on miernot na znakomitości pasował—jak talentom rzeczywistym troskliwie ojcował! Nie!—uczucie zawiści obcem mu było dla tego już samego, że był synem, matkę sercem i duszą całą mitującym i że patryjotyzm jego polegał głównie na manifestacyi słowa rodzinnego. Był też przeciwnikiem

manifestacyj takich zwłaszcza, w których „talenty pisarskie giną.” Przekonanie to wyznał bodaj czy nie w „Wieczorach wołyńskich,” — braciom po piórze nie zazdrościł, — obawa zaćmienia nie frasowała go, — tego się nie lękał. Odwracał się odemnie nie przez gniew, ani przez zawiść, ale dlatego, żem ja pozostawał, czem byłem, on zaś wszedł w prąd ogromnej większości narodu i z nim płynął. Powodowała nim racya polityczna. Odwracał się od tej sfery, która stanowiła lewicę, jak również od tej co się w prawo zadaleko zapędziła. Powiedziałbym, że był wyobrazicielem „szarej gromady,” gdyby Słowacki definicyi tej nie użył w znaczeniu złośliwem. Kraszewski szedł zawsze z większością; zdolen był do uniesień, nie inaczej jednak jak z nią razem; dla niej żył, dla niej pracował; nowości przyjmował z ostrożnością, usuwał się od mniejszości wszelakiej, którą podejrzывał o skrajność, mogącą w sposób taki lub inny tok prądu głównego zamącić. Że zaś mnie w szeregach mniejszości i to szczupłej mniejszości — tej co szczekać i kasać nie mogąc, na rumowisku leży i warczy, że mnie w szeregach tych widział, on przeto, co w momencie pewnym okazał się odemnie czerwiejszym a następnie przywdział barwy szare i w nich z sił całych narodowi służył, ze mną spółnego nic mieć nie chciał.

Tak się wyraziły stosunki nasze w epoce największej Kraszewskiego na polu literackiem działalności, w epoce, kiedy się tryumf jego zbliżał. Nie pisywaliśmy do siebie, bo — i o czemże byśmy pisywać mogli? Za materyją do wymiany myśli pozostawało jeno — pióro gęsie chyba.

Od spotkania się w Montreux upłynęło lat cztery. Kraszewskiego, wyobraziciela swego, naród wieńczył na Kapitolu. W manifestacyi tej wziąłem udział, na jaki mnie stało. Do Krakowa jechać nie mogłem dla powodów paru, a między innemi dlatego, żem wiedział, iżbym tam odegrywać musiał rolę gościa nieproszzonego.

go. Wziąłem jednak udział w tej narodowej manifestacji; złożyłem Kraszewskiemu w zupełności zasłużony hołd i—ani on nie przesłał mi Bóg zapłać, ani w „Księdze pamiątkowej“ nie zanotowano adresu, na którym podpis mój figurował. To ostatnie stać się mogło wskutek niedopatrzienia Komitetu wydawniczego—nie wiem; tanto jednak wyraźnie znamionowało niedopatrzenie umyślne, prowadzące do zerwania stosunków zupełnego. Jakoż pomiędzy jubilatem a mną stosunki zerwane zostały i—kiedy w lat parę później mnie powinszowania ślano, Kraszewski nie przysłał ani słówka.

Nastąpił proces lipski. Proces ów oburzył mnie do głębi. Pociągnięto przed kratki człowieka, co przyjmował i uznawał wyroki losu i stosował się do takowych z całą, szczerą, możliwą lojalnością. Naciąganie sprawy w oczy się rzucało. Sądzone nie zbrodniarza stanu, ale laureata krakowskiego—moralnego większości narodu wyobraziciela. Miałem ochotę napisać, bądź do niego, bądź o nim. Nie pisałem w obawie, ażeby mu nie zaszkodzić. Napisałem do więzienia. Chodziło o zaprotegowanie pewnego młodego człowieka i wyjednanie dla niego stypendyjum z zapisu Krystyna Ostrowskiego. Przy okazji tej przesłałem mu życzenia zdrowia. Otrzymałem odpowiedź pocztą odwrotną. Oto ona:

Ce 22 Aout 1884. Magdeburg.

„Cher Monsieur Sigismond.—Je suis heureux que l'occasion se présente de vous serrer la main,—pardonnez seulement si, malade et faible comme je suis, j'écris mal et n'ai que quelques mots à vous dire. Il va sans dire que je ferai mon possible pour aider le jeune homme à obtenir la bourse—s'il y en a une qui est vacante.

J'écris aujourd' hai même au Comte; mais il me semble (je ne suis pas sur) que déjà une fois je lui ai recommandé un jeune homme, je ne me rappelle pas son nom, qui peut être le même S., votre protégé. Plutôt m'a répondu qu'il prendra des renseigne-

ments et fera tout ce qui est possible. Il m'en a donné l'espoir. En tout cas je renouvelle ma demande. Je serais doublementheureux d'aider un homme qui veut travailler et de vous prouver ma bonne volonté à vous servir. — Agréez l'expression de ma considération et de mon amitié. Votre dévoué collègue et serviteur." (podp.):

J. I. Kraszewski.

List powyższy akcentuje serdeczność, która pomiędzy autorem onego a mną znikła była na lat dwadzieścia.

Od tej listów wymiany rozpoczęła się zmiana w stosunkach naszych, zmiana, która doprowadziła do tego, że Kraszewski w pobliżu mnie zamieszkać zapragnął i rozstrzygnęła się tem, że na ramieniu mojem skonał. Zmianie tej przypisywać psychicznego znaczenia nie można. Zaszła ona, jak się zdaje, w więzieniu—kiedy Kraszewski, pozostając sam na sam z myślami własnymi, analizował stanowisko swoje i uczuł się—rozbitkiem. Od tego się bronił; do wychodźstwa należeć nie chciał; trzymał się oburącz większości narodu, która go wszystkimi, jakie do rozporządzenia miała, hołdami otoczyła i od której oderwany został gwałtem. W momencie takim zgłosił się do niego rozbitek, od którego się odwracał. Czyż nie ma w tem materyjału na studjum psychiczne?...

III.

Dnia 15-go marca r. 1887, we wtorek, przez dzień cały w Genewie padał śnieg, nad wieczorem wzmógł się, sypał przez noc całą i ustał nad rankiem. We środę, jak zwykle, wstałem o szóstej i zrazu nie wiedziałem co się na dworze dzieje. Dopiero gdy się rozwidniło, przedstawił się we wspaniałości całej widok zasypanej śniegiem górskiej okolicy, widok, idący z okien pracowni mojej, z jednej strony na Alpy, z drugiej na Jura. Alpejskie Salevy i Pitony i jurajski Reculet, wydawało się, jakby się łączyły i otaczały Genewę olbrzymim wałem półkulistym.

Miasto wyglądało w zmniejszeniu niby—miało pozór modelu, ustawionego na karcie papieru białego. Gdzie okiem spojrzeć, wszędzie biała białością matową, posępną, osłoniętą szaremi chmurami, okrywającemi widnokrąg. Wejście do domu zasypane; że zaś dom, w którym mieszkam, położony jest za miastem, wśród ogrodów, dzieciom przeto, które o ósmej powinny były znajdować się w szkole, z trudnością przyszło wydostać się z zagrody. Z okna widziałem, jak się grzebały po kolana w śniegu. Sprawiało im to uciechę. Słyszałem wesołe ich okrzyki i śmiechy, które dzwoniły jeszcze na zakrę-

cie ulicy, zcichły wreszcie i jam w ciszy ciągnął dalej przy stoliku moim pracę, rozpoczętą przed świtem, nie spodziewając się, tak z powodu pory wczesnej, jakoteż bardziej dla śniegu, ażeby mi w niej przeszkodziła wizyta jaka. Ktoby z wizytami tak rano, w taką porę chodził!

To też wielkiem było zdziwienie moje, gdy około dziewiątej służąca oznajmiła mi przyjście damy jakiejś. Nowo przyjęta dziewczyna nazwiska jej nie знаła.

— Co za dama?...—zapytałem.

— Piękna jakaś dama... polka, zdaje się... z panienką...

Posłałem na zwiady córeczkę moją najmłodszą, której matka z powodu śniegu do szkoły iść nie pozwoliła i ta wnet przyniosła mi nazwisko przybyłej:

— Pani Laskowska...

Zdziwienie moje zmieniło się w zdumienie, a zdumienie w zaniepokojenie. Pani Laskowska, żona znakomitego profesora anatomii uniwersytetu genewskiego, d-ra Z. Laskowskiego, zaszczycającego mnie przyjaźnią swoją, nie przychodziła o tej godzinie i w taką porę z wizytą. Sprowadzał ją interes. Może w domu profesora zdarzył się wypadek jaki. Myśl ta w głowie mi strzeliła, zerwałem się, do saloniku wbiegłem i, pomijając formalność powitania, zwróciłem się do pani L. z zapytaniem:

— Co tam, pani?...

— Kraszewski przyjechał...

— Kraszewski?!

— Przyjechał wczoraj pociągiem wieczornym...— opowiadać poczęła. Chory jest bardzo... nogi ma opuchłe... Wczoraj późno przysłał po męża mego Niemca jakiegoś, z którym się rozmówić trudno było... Mąż mój chodził do niego, do hotelu i powrócił po północy...

— Po cóż on przyjechał?...

— Zdaje się, dom pod Lozanną kupił... Chory jest bardzo... nogi ma opuchłe...

— I na taką natrafił porę!...

— Ach co za pora!...—zawołała doktorowa. Śnieg po kolana... Ledwom się tu z Mitką dostała...

— Gdzież Kraszewski zjechał?...

— Do hotelu *de la Paix*... Mąż mój będzie u niego około dwunastej... Kraszewski o pana pytał, to może-byś się pan z mężem moim u niego zejść zechciał...

— O pójde...—odrzekłem.

Zamieniliśmy kilka jeszcze z panią L. frazesów i ona odeszła. Wybrałem się z domu tak, ażeby do hotelu, leżącego po drugiej stronie jeziora, zejść nie wcześniej jak o jedenastej, przypuszczałem bowiem, że po odejściu doktora Kraszewski zasnąć mógł i spoczywa. O jedenastej, przebrnąwszy przez zasy na przedmieściu Champel, ulicami miejskimi, na których śnieg uprzątano, dostałem się przez most do hotelu, zaliczającego się do pierwszorzędných w Genewie zajazdów. W hotelu tym stawał niegdyś Krystyn Ostrowski. W biurze opowiedziałem się i o numer apartamentu zapytałem...

— Numer dziesiąty na pierwszym piętrze...

Zapukałem jak można najłagodniej i czekałem na wezwanie ze środka, zdecydowany odejść i przyjść później, gdybym wezwania nie usłyszał. Doczekałem się nie wezwania, ale otworzenia drzwi. Otworzył mi takowe młody jakiś, mocno rudy człowiek, który, gdy się uklonił i na stronę usunął, ujrzałem Kraszewskiego w fotelu siedzącego. Kraszewski głowę podniósł tym zwykłym mu pod koniec żywota z dołu do góry z ukośsa nieco ruchem i z uśmiechem na obliczu na mnie patrzył. Podeszedłem do niego—w ramię go pocałowałem. Powitał mnie drżącym ręki uściskiem—ręki, której ujęcie inne, aniżeli dawniej, wrażenie na mnie zrobiło. Była gruba i chłodna. Przysiadłem się. Kraszewski

pierwszy rozmowę ze mną rozpoczął od zapytań o żonę moją i dzieci. Odpowiedziałem i zapytałem:

— A wy... jakże?...

— Ze mną źle... o, źle... Był tu u mnie wczoraj Laskowski...

— Wiem...—podchwycilem. Od pani jego o was się dowiedziałem...

— Prosiłem go, ażeby ci znać dał... Nie odstępajcie mnie...

— Nie macie miny bardzo złej...

— Źle jednak ze mną... Nogi mi popuchły... Oddaję się Laskowskiemu bezwarunkowo... słuchać go będę ślepo... Niech mnie do swego sanitarium weźmie i robi ze mną, co zechce... Słuchać go będę... Wy jednak—dodał odetchnąwszy—czasu nie macie; ale są tu słuchacze medycyny polacy, lekarze młodzi: niech Laskowski uorganizuje z nich dozór... nie daremny—rzekł z przyjacielskiem—nie daremny... Wręcę Laskowskiemu pieniądze przy tobie i niech mnie nie oszczędza... Gdyby zabrakło, dam więcej... przyślą mi: przyśle rodzina... pocziwa moja rodzina... Oddaję się Laskowskiemu bezwarunkowo, będę go słuchał ślepo: niech mnie do swego sanitarium weźmie i dozór zorganizuje... Macie tu słuchaczy medycyny, lekarzy młodych...

— Są... są...—podchwycilem—słuchacze medycyny i lekarze młodzi polacy... Oni was otoczą i nie odstąpią: o to bądźcie spokojni...

— Ale ja nie chcę, ażeby dla mnie czas daremnie tracili... wręcę Laskowskiemu pieniądze...

I powtórzył znów to samo i toż samo następnie powtarzał, stawiając nacisk na dwie mianowicie rzeczy: na oddawanie się Laskowskiemu w posłuszeństwo bezwarunkowe i na wynagrodzenie tych, co przy nim będą czuwali. Świadczy to, że niebezpieczeństwo przeczuwał i z położenia swego sprawę sobie zdawał. Wie-

rzył jednak w potęgę sztuki lekarskiej i śmierci się nie spodziewał. Przypuszczał, ale się nie spodziewał...

Dwa te punkty, zanim Laskowski przyszedł, stanowiły główną rozmowy naszej treści. Zboczył od niej Kraszewski sam, gdy urywkowo opowiadał mi o nabyciu domu pod Lozanną i o wdzięczności jaką z powodu następczenia mu agenta czuje dla żony mojej. Próbowaliśmy i ja dotykać materii innej. Wspomniałem o trzęsieniu ziemi. Kraszewski atoli materiją tę zbywał lekko, od niechcenia, powiadając, że pierwsze styczniowe trzęsienie ziemi było rzeczywiście niebezpieczne; drugie zaś, jako „wertikalne“ (sic), nie przedstawiało już niebezpieczeństwa tyle.

— Koczowałem...—rzekł.

— A wiem...—odrzekłem. Oglądałem rysunek budy waszej...

— Gdzie?...

— W numerze Tygodnika ilustrowanego, który wczoraj otrzymałem...

— A...—odezwał się.

— Tygodnik wam dziś przyniosę...

— Przyślą mi go...—odparł i znów powrócił do materii posłuszeństwa względem Laskowskiego.

W mówieniu jego postrzegać się dawał brak ciągłości w połączeniu z obracaniem się około jednego przedmiotu. Przerywał sobie niekiedy westchnieniem, niekiedy kaszlem lub jęknięciem, niekiedy zaś prostem zwieszeniem głowy na piersi. Słuchając go, rozglądałem się po pokoju. Był to salonik hotelowy bez łóżka. Od wniścia na prawo na kominku gorzał ogień suty, szerzący w izbie całe ciepło umiarkowane, miłe i zdrowe. Naprzeciwko kominka pod ścianą stała kanapa elegancka i przed nią stoliczek mały. Światło dostawało się przez duże, w story i ciężkie firanki zaopatrzone okna, z których jedno pełniło funkcję drzwi, wyprowadzających na balkon, zawieszony tuż nad głównym

do hotelu wchodem. Kilka krzeseł i parę jeszcze stolików uzupełniało umeblowanie pokoju, którego ozdoby składały się, jak zwykle po hotelach, ze zwierciadła w złotystych ramach, z monumentalnego zegara na okapie kominkowym, z kandelabrow i obrazów. Po środku stał stół owalny i osłaniał sobą od ognia ustawiony bokiem do kanapy fotel, na którym, zwrócony plecami do jednego z okien, [spoczywał chory. Stół ów, zastawiony flaszkami, słoikami, szklankami, butelkami, pudełkami z papierosami i różnymi gracikami, uszykowanymi po za złożonym na postumencie zegarkiem kieszonkowym, znajdował się pod lewą ręką Kraszewskiego. Ręka prawa spoczywała najczęściej na poręczy fotela. Chory miał nogi wyciągnięte i kocami okryte.

Pierwsze przyjścia mego momenty upływały mi w obecności jegomościa jakiegoś, który przy kominku z boku nieopodal ode drzwi siedział i gazetę czytał. Sądząc o nim wedle powierzchowności i miny, wziąłem go za posługacza szpitalnego. Podobny do niego przychodzi do mnie, kiedy mi bańki stawiać i suchą wannę aplikować potrzeba. Siedział on i nie odzywał się. Od czasu do czasu z pokoju przyległego wchodził rudy Niemiec, nad Kraszewskim się nachylał i z troskliwością go, czy czego nie żąda, zapytywał. Kraszewski zażądał pić—Niemiec mu dał herbaty z mlekiem, zażądał palić—Niemiec mu papieros podał.

O dwunastej nadszedł d-r Laskowski. Usunąłem się mu i zająłem stanowisko niemego świadka rozmowy lekarza z chorym—rozmowy, tyczącej się, symptomatów, z której dowiedziałem się, że Kraszewskiego trapi bezsenność, brak pociągu do jedła, pragnienie i duszność. Przy rozmowie obecnym był Niemiec; odzywał się i jegomość ów, w którym poznałem francuza. Doktor z Niemcem wychodził do pokoju przyległego, wrócił, przepisał lekarstwa, udzielił wskazówek parę

i, kiedy fachową czynność zakończył, Kraszewski zagaił rzecz dozoru lekarskiego przy osobie swojej.

— Mówilem właśnie z Zygmuntem...—rzekł. Oddaję ci się, ojcze... Weź mnie, rób ze mną, co zechcesz... urządzi przy mnie służbę lekarską...

— Bądź szanowny pan spokojny...—przerwał doktor. Wezwałem moich uczniów (Hertyka—rzekł do mnie na stronie)... Oni tu przyjdą, ja im informacje dam: będą nad szanownym panem dzień i noc nieodstępnie czuwali...

— Jam tu pieniądze przygotował...—odezwał się Kraszewski, sięgając po pugilares na stole.

Doktor się od wzięcia pieniędzy wymawiał, ale Kraszewski z naleganiem mówił, że nie chce, ażeby starania około niego bez wynagrodzenia pozostały i, mówiąc to pugilares otworzył, paczkę biletów bankowych wyjął, przeliczył i, wręczając takowe Laskowskiemu, rzekł:

— Masz tam, ojcze, siedem tysięcy...

— Kwit wystawię...—rzekł Laskowski.

— Eh...—bez tego się obejdzie...—odparł, ręką zleka machnąwszy.

Doktor bilety policzył—znalazł tysięcy nie siedem, ale osiem. Dał do przeliczenia mnie—w rzeczy samej osiem było. Kraszewski się omylił, omyłkę uznał i, gdy kwit przyjął, potrącił o kwestycją wydatków.

— Nie żałujcie tylko...—mówił. Nie oszczędzajcie mnie... Gdyby zabrakło, dodam jeszcze... dodam... Rodzina moja przyśle...

Laskowski coś na to odpowiadał; Kraszewski o lekarzy młodych zapytał.

— O piątej—odrzekł doktor—ma tu przyjść Hertyk, pewny jednak nie jestem... Ci panowie wszakże—na niemca i francuza wskazał—mogliby tymczasem posługi czynić...

— Al... ci panowie... — odparł Kraszewski z niecierpliwości akcentem. Jeden architekt... drugi odjeżdża... Oni nie mogą i nie potrafią...

— Więc my to już urządzimy... o piątej... ja tu przyjdę...

Po słowach tych Laskowski zabawił już nie długo. Wyszedłem z nim i ja.

Wrażenie ogólne, jakie na mnie Kraszewskiego widok sprawił, było, że obecnie nie jest on o wiele gorzej, aniżeli w jesieni. Wygląd zachował ten sam. Maską oblicza nie zmieniła się zgola. Ręce jeno, chude w jesieni, stały się teraz obrzękłe. Nie poraziło mnie to jednak do tego stopnia, ażebym się o życie jego zaniepokoił. Na ulicy doktor mi powiedział, że Kraszewski jest w przejeździe przez Genewę i udaje się do Lozanny, celem nabycia domu, o który już ugoda stała.

— Wiem... — odrzekłem.

— Trzeba, żebyśmy mu to wyperswadowali...

— Jeżeli znalazł dom wygodny...

— Ależ on domu kupować nie może...

— Czemu?... — zapytałem.

— *Parceque c'est un moribond*... — odpowiedział doktor po francusku dla dobitności.

I jął się mi tłumaczyć stan, w jakim się Kraszewski znajdował (organiczna choroba serca w ostatnim stadium rozwoju), stan, nie pozostawiający nadziei żadnej.

— Może — powiadał — pożyje jeszcze dni kilka, kilkanaście, ale skonać może za godzin kilka, za godzinę... Telegrafowałem do rodziny, zawiadamiając ją o początku końca...

Sambym się był tego nie domyślił.

Od chwili tej zapanował pomiędzy nami niepokój żywy. Nie doczekałem piątej, o której umówiłem się z doktorem o zejście się w hotelu. Przyszedłem wcześ-

niej i zastałem Kraszewskiego gorzej, aniżeli o południu. Znajdował się w stanie senliwości, z której go budziły bole wewnętrzne, wydzierające mu z ust stękania i jęki. Posługiwał mu Niemiec. Francuz na innem siedział miejscu, ale zawsze z gazetą w ręku. Około piątej nadeszli doktor i Hertyk, student medycyny. Doktor dał Hertykowi wskazówki, co do obchodzenia się z chorym, razem przewijali mu nogi i dopiero zobaczyłem puchlinę, obejmującą stopy, łydki i kolana. Był to dla mnie widok bolesny, przypominał mi bowiem nieboszczyka Kornela Rechniewskiego, który na tęż samą chorobę zmarł i przez dwa tygodnie się męczył, zanim skonał. Widocznem już było, że się Kraszewski znajduje w stanie konania.

Stan ten, jakieśmy się z opowiadań Niemca (p. Schneidera), z relacyj ochmistrzyni (pani Heinitz), z listu d-ra Tymowskiego później dowiedzieli, rozpoczął się dla niego w San-Remo jeszcze, to jest dnia 12-go marca. Na skołatany chorobą i więzieniem organizm przyszło trzęsienie ziemi styczniowe i zachwiało nim. Trzęsienie ziemi marcowe było dopełnieniem miarki. To ostatnie przeraziło Kraszewskiego i nasunęło mu myśl wyjazdu z miejsca plagą dotkniętego. Cel podróży nasuwał się sam przez się. Przysposabiał sobie bezpieczne i spokojne na resztę dni schronienie; wszedł był w układy z agentem w Lozannie, który mu przysłał plan domu do nabycia; dom ów był do rozporządzenia; postanowił więc jechać niezwłocznie. Powzięcie postanowienia tego nacechował upór chorobliwy. Nie pomagały żadne i niczyje perswazyje. Wrażenie chwili zapanowało wszechwładnie w umyśle Kraszewskiego i wypchnęło go z San-Remo do Turynu, gdzie się dni dwa zatrzymał i z kąd go sprowadzony przez pana Begay lekarz puszczać dalej nie chciał. Uparł się jednak.

— Do Genewy!... do Genewy!...

W Genewie zamierzał zatrzymać się, tu siły odzyskać; stąd sprawę o nabycie domu zakończyć i snuć dalej pożyteczną pracę swoją. Zamierzał przytem do domu swego nad brzegami Lemanu zaprosić Lenartowicza i dzielić się z nim sercem i chlebem. Dlatego pragnął żyć—żyć koniecznie. Pragnienie życia zastąpiło przed oczami jego widok śmierci, której nie przypuszczać nie mógł, której nie spodziewał się jeszcze. Widział ją w przyszłości, ale nie teraz—nie obecnie, kiedy miał w myśli zamiary do skutku nie doprowadzone i na warsztacie roboty niepokojące. Takim było usposobienie moralne, w którym z San-Remo wyjechał i do Genewy przybył.

Uspokojenie to tłumaczy jego—że się tak wyrażę—postawę wobec wyroku nieubłaganego, jaki na niego natura wydała. Wszyscy, co go otaczali, widzieli śmierć, wielkimi zbliżającą się krokami:—on jej nie widział. Cierpienia wydzierały mu niekiedy z ust okrzyki: „Och!... umieram... umieram!...“ ale słówko jedno, takie na przykład, jak: „Gdzież-tam!...“ albo: „Skądże!“—starczyło za pocieszenie. Zamilkł, wzdychał i z wyrazem uśmiechniętej w oczach wdzięczności na tego, co słówko to wymówił, spoglądał.

Nie będąc chwila po chwili opisywał symptomatów, które poprzedziły moment wyroczny. Zanotuję jeno ważniejsze. Stan ogólny chorego wyrażał się za pomocą senliwości. Siedząc ze zwieszoną na piersi w fotelu głową, drzemał; od czasu do czasu budził się; przyjmował z chciwością szczególną lekarstwa, przelatywał po haustów parę wina lub wody, palił papieros, przemawiał po słów kilka do tego, co był przy nim i znów w senliwość zapadał. Zdarzały się atoli momenty jaśniejsze i wówczas rad rozmawiał. Polepszenie znaczne zmanifestowało się było we czwartek po południu. Zdarzyło się tak, że przy nim po jednej stronie

siedziałem ja, po drugiej jeden z czuwających przy nim studentów, Opowiadałem młodemu człowiekowi o chorujących na odrę dzieciach moich. „Mówcie o czem wesołem...” — przerwał Kraszewski. Zmieniłem treść rozmowy, w której i on udział wziął. Od momentu tego polepszenie wzmagalo się. Noc z czwartku na piątek przeszła dobrze; w piątek nadedniem oprzytomniał zupełnie, z Hirszbergiem i Polzeniuszem, którzy wraz z Hertykiem kolejno przy nim dyżurowali, o zamiarach, pracach i kłopotach swoich literackich mówił i Niemca architekta do Lozanny, celem opatrzenia domu wyprawił. Przejmowała go zupełna powrócenia do zdrowia nadzieja.

Niestety, była to nadzieja złudna. Po polepszeniu nastąpiło pogorszenie, które się już mocno w piątek o południu zaznaczyło. Wieczorem przyszedłem z żoną. Zrazu jej nie poznał; następnie poznał i mówić chciał, ale wymawiał jeno wyrazy: „Pani..., moja pani.” Frazes jedyny, co mu z ust wypłynął, był następujący: „Jacyście wy dobrzy!... czem się wam wywdzięczę?” Frazes ów powstawał zwykle, gdy go w fotelu przesuwano. Niekiedy odzywał się: „Sił... sił, o Boże!... sił.” Raz się odezwał: „słabnę... upadam... podnieście mnie!” — a kiedy młodzi ludzie ramiona pod niego podsunęli i udźwignąć go chcieli, rzekł: „Oh! nie... duchem mnie podnieście.” Słów kilka pocieszenia zwyczajnego uspokoiło go.

Kiedyśmy poznali, że Kraszewski z choroby nie wyjdzie, nie mogło nie przyjść na myśl, że on wierzącym jest i że obowiązek sumienia nakazuje nam uszanować wierzenie jego. Przysposobiliśmy się do tego. Żona moja wręczyła dozorującym go młodym ludziom adres księdza Dufresne, znanego z cnót i rozumu kapłana obrządku rzymsko-katolickiego, który, mieszkając na Paquis, nieopodal od hotelu de la Paix, na każde był zawołanie. Młodzi ludzie czekali jeno na zażądanie

przez Kraszewskiego spowiednika. Spowiednika jednak narzucać mu nie wolno nam było ze względu na tę nadzieję, co go przy życiu utrzymywała. Na tośmy się odważyć nie mogli. D-ra Laskowskiego powstrzymywał od tego obowiązek fachowy, polegający na tem, że lekarz podtrzymywać winien chorego przy życiu, tak długo, póki takowe w organizmie tli; mnie powstrzymywał prosty obowiązek „ludzkości.“ Kto inny na miejscu mojem byłby się może na podobne obowiązków ludzkości pogwałcenie odważył: — jam się nie odważył na pozbawienie umierającego tej isierki nadziei, do której on duszą całą do ostatka samego lgnął.

W piątek od południa poczęło się chylenie ku mogile. Chory przytomność utracił, nie w takiej atoli zupełności, ażeby chwilami nie poznawał osób i nie przypominał sobie rzeczy różnych. Poznał z wieczora żonę moją; poznał następnie ochmistrzynią swoją, która telegrafem wezwana o północy z San-Remo przyjechała. Pamiętał o lekarstwie i przyjmował je z chciwością tak, że zębami szklaneczkę przytrzymywał. Sam jeszcze rękami drżącemi zegarek nakręcił. Asfiksyja jednak owładła coraz to mocniej i mocniej, naciskając na mózg i mącąc myśli. Od czasu do czasu coś szeptał; niekiedy rzucał w językach polskim, francuskim, niemieckim i włoskim wyrazy niezrozumiałe. Zrozumiałe rzekł: „samiśmy swoi... jak to dobrze!“ Te atoli przebliski myśli nie stanowiły rękojmi życia i, kiedym go w piątek wieczorem odchodził, zamówilem sobie posłańca, któryby mnie w nocy wezwał, gdyby się pokazały oznaki zbliżania się momentu ostatniego.

Posłaniec przybiegł po mnie nazajutrz rano, ale mnie w domu nie zastał. Rozminąłem się z nim na drodze. Kraszewski żył jeszcze, oddychał słabo, cicho, bez westchnień, bez jęków; drzemał; około południa głowę podniósł i oczy otworzył — lekarstwa zażył, głowę na piersi zwiesił i w drzemkę zapadł.

Był to dzień 19-ty marca, święto Józefa Oblubieńca—dzień imienin Kraszewskiego. Od rana przychodziły listy i telegramy z powinszowaniami i życzeniami życia długiego. A tu życie solenizanta do kresu dobiegało. Obok tego nadchodziły telegramy od redakcyj pism warszawskich, domagających się biuletynów o stanie chorego. Te ostatnie, do mieszkania mego adresowane, dzieci mi z domu przynosiły. Jeden z nich przyniosła córka moja, Hanna, kształcąca się w szkole sztuk i rzemiosł. Szła na lekcyj—przyszła z teką. Poprosiłem, ażeby lekcyją opuściła i wizerunek chorego, zdjęła. Umieściłem ją z boku tak, żeby jej Kraszewski widzieć nie mógł, chociażby się obudził. Działo się to około trzeciej po południu. Wkrótce potem wyszedłem na półgodziny i, kiedym powrócił, córka moja rysowała, Kraszewski w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłem, w fotelu siedział, ale już—nie oddychał. Z życia do śmierci przeszedł w ten sposób, że oddychać przestał.

Wyobrazić sobie, ani życzyć śmierci lżejszej nie można. Nieboszczyk ani się ruszył, ani drgnął, ani odetchnął głębiej. Przyszła jak koicielka trosk i cierpień, uspiła i zabrała. Majestat jej, zwany powszechnie groźnym, przedstawił się w tym razie takim łagodnym, słodkim i pociągającym, że, na Kraszewskiego patrząc, na miejscu jego być się pragnęło. Tak zasnąć—czegoż chcieć więcej? Żal mi serce przejmował, myśląc o tej nrodu chlubie, obezwładnionej na wieki, ale—wyznać muszę—przejmowała mnie zarazem i zazdrość, gdy m patrzył na to uspokojenie wieczyste.

W pierwszych chwilach Kraszewski się ani trochę nie zmienił. Oblicze zachowywało rysy te same, co za życia; nie oddychał; zdawało się jednak, że spał i że lada chwila pierś jego westchnieniem się poruszy, głowa się podniesie i oczy błękitne powiodą po nas

tem wejrzeniem łagodnem, jakim powodziły o południu. W śmierć jego wierzyć się nie chciało dlatego, że on w nią sam do ostatka nie wierząc, upoważniał niejako do wątpienia;—nie stawiał się w obec niej ani jako ofiara, ani jako pogromca, ani jako gardzieliel, ani jako wyżewacz, ani jako rezygnant, ani jako filozof,—nie przybierał na siebie ze znanych ról żadnej, nie pozował w obliczu tej tajemnicy bytu, takiej dla wszystkiego co żyje przerażającej i dla tych, co myślą, interesującej.

Kraszewski żyć przestał dnia 19-go marca 1887 roku o godzinie 3 minucie 38 po południu, to jest, o tej godzinie i minucie spostrzeżono, że oddychać przestał, przypuszczać więc należy, że śmierć jego nastąpiła o minut kilka wcześniej. Wiadomość o niej telegramy poniosły wnet do Warszawy, Krakowa, Lwowa i Poznania; na miejscu jednak pozostała w kółku polskiem; w hotelu zaś nie wyszła po za sferę służebną. Goście, zapelniający zajazd *de la Paix*, ani się domyślali, że jeden z numerów zajmuje nieboszczyk. Osób kilka z kolonii polskiej przyszło z hołdem, który Towarzystwo P. w osobie sekretarza swego, p. W. Bandurskiego, złożyło. Każdy z przychodzących pochylał się z ukłonem głębokim przed zwłokami męża, co przez lat pięćdziesiąt ośm karmił mózgiem swoim naród. I słońce zajrzało—i z pokłonem niejako weszło, oblewając blaskiem śniegiem osypane łańcuchy Alp, służące za ramy do cudnego zimowego krajobrazu, który rozwijał się z okien pod postacią panoramy przedmieść i miasta, rozrzucającej się malowniczo po nad szafirowemi toniami jeziora Lemańskiego. Może promienie słoneczne weszły po to, ażeby posłużyć za pomost dla ducha wielkiego nieboszczyka w przechodzie jego w zaświaty z tego padolu, na którym on zaznał tyle sławy i cierpień tyle.

Dokonaniem formalności policyjnych, zabalsamowaniem zwłok i zachowaniem ciała dla rodziny i narodu zajął się d-r Z. Laskowski.

Przeniesione z fotelu na łóżko i na wznak położone zwłoki przybrały niezwłocznie niemal pozór trupi. Pozostawiono je w hotelu na noc i na dzień jutrzejszy, którym była niedziela i zabrano następnie do szkoły medycznej. W hotelu rysownicy przenosili podobieństwo oblicza zmarłego na papier; fotograf odbitkę zrobił; rzeźbiarz odlał maskę gipsową. W poniedziałek dopełnionem zostało balsamowanie, a we wtorek nastąpiło oddawanie czci zmarłemu, stanowiące wedle zwyczajów szwajcarskich ceremoniją pogrzebową. Polega ona na wygłaszaniu mów i defiladzie publiczności parami przed trumną.

Ceremonija odbyła się na cmentarzu Plainpalais, w budynku zwanym *Chambres mortuaires*, przeznaczonym na przechowywanie zwłok. Zwłoki Kraszewskiego, złożone w trumnie na białym atlasie, tonęły w powodzi wieńców, bukietów i girland, przysłanych z Polski, z Włoch, z Francyi i ze Szwajcaryi. Zebrało się tego dużo. Każdy niemal z zamieszkałych w Genewie Polaków dostał z po za Genewy polecenie złożenia w imieniu bądź osobistości pojedynczej, bądź korporacyi dowodu czci i pamięci. Za mojem jeno pośrednictwem weszło wieńców kilkanaście od młodzieży, od redakcyj dzienników, od stowarzyszonych (Macierz polska), od ciał urzędowych (Rada miasta Lwowa), od obywatelstwa (z Kowla). Kowlanie wraz z wieńcem przysłali na ręce moje, okryty pięćdziesięciu kilku podpisami, wyraz żalu. „Przejęci—słowa ich—głębokim żalem wobec tej świeżej mogiły, która nam wydarła najszlachetniejszego człowieka, obywatela kraju nie obliczonych zasług, pisarza, który przez pięćdziesiąt lat przeszło przodował społeczeństwu, zaszczepiał w niem i krzewił niezmordowanie zdrowe zasady pra-

wdy, wiary i miłości, którego półwiekowa praca została pomnikowym przykładem wytrwałości dla kilku pokoleń, przez Twoje ręce, Sz. Panie, pospieszamy złożyć ten skromny wianek; jako dowód hołdu i głębokiej czci dla spoczywającego w Bogu ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego. Niech te kilka słów, z serca płynących, odbije się nad jego mogiłą bratniem echem z tego zakątka rodzinnej ziemi tak ukochanej przez Niego." Nie było z pewnością takiego zakątka ziemi rodzimej, z któregooby się ze czcią głęboką nie zwracano w d. 22 marca, o godzinie 11 rano ku trumnie odkrytej, okwieconej i otoczonej przez szwajcarów, francuzów, włochów, rosyjan, rusinów, bułgarów i polaków. Nas było najwięcej, a liczbę miejscowych powiększali przybysze: delegaci uczącej się młodzieży polskiej z Zurichu, wiceprezes zjednoczonych Tow. Polsk. p. T. Witkowski z Zurichu, hr. Dienheim-Brochocki-Szczawiński z Włoch, p. E. Smólski z Wiednia, p. Edward Loevy malarz z Paryża. Z włochów umyślnie na pogrzeb zjechał adw. Begey z Turynu ze wspañiałymi od siebie, od hr. Correnti i od innych wieńcami. Przybył także i obecnym był najpierwszy z członków rodziny nieboszczyka, syn jego starszy, Jan.

Kiedy do mów pogrzebowych przyszło, zabrałem głos wstępny. Zastrzegłem to sobie z góry, czułem się bowiem do tego upoważniony raz, jako kolega nieboszczyka, powtórę, jako piśmiennictwa polskiego jedyny na pogrzebie przedstawiciel. Przez wzgląd na słuchaczy cudzoziemców, mówić musiałem po francusku. Po francusku przemawiali d-r Laskowski i p. Brochocki. P. Begey mówił pół po polsku, pół po francusku. Mowy polskie wygłosili p.p. Witkowski i Karpiński. Żadna z mów naszych w druku się nie ukazała inaczej, jak w skróceniu treściwem, zanotowanem przez reporterów dzienników miejscowych, którzy po polsku nie umiejąc, pominęli mowy polskie. Dziś, po

upływie czterech miesięcy, swojej nawet powtórzyć-bym nie potrafił. Mówiliśmy pod wrażeniem zdarzenia, odczuwanego, jak się odczuwa cios bolesny i słowa nasze były wyrazem żalu, czci i hołdu dla wielkiego zmarłego. Ja słuchaczom opowiadać musiałem wielkość straty, jakąśmy ponieśli. Słuchaczów mieliśmy nie tyle, ile by się zeszło, gdyby ceremonii tej pogoda sprzyjała. Od rana lał deszcz, który się około jedenastej wzmógł i wielu w domu zatrzymał. Mimo to na podsieniu cmentarnem i na kurytarzu stała ciżba, która następnie przedefilowała przed trumną; gdy zaś po południu deszcz ustał, rozpoczęła się istna do ciała „poety polskiego” pielgrzymka i trwała do wieczora, wznowiła się nazajutrz i w dniu trzecim i byłaby się ciągnęła dalej, gdyby nie zamknięto drzwi.

Kraszewski w trumnie zmienił się do niepoznania. Z wyjątkiem czoła, które kształt swój zachowało, żaden zresztą z rysów oblicza nie zatrzymał formy, jaką za życia posiadał. Zdaje się, że zmianę tę spowodziło balsamowanie. P. E. Loevy odportretował nieboszczyka z wiernością fotograficzną i portret jego w połączeniu z fotografią i z rysunkami panny Hanny M. stanowi seryjną, zaznaczającą zmiany stopniowe, jakim podlegało oblicze od pierwszej chwili skonania w ciągu idących po sobie kolejno dni czterech.

Nazajutrz we środę, d. 23 marca, w kościele Panny Maryi, za staraniem syna, odbyły się z wystawieniem katafalka, egzekwije za duszę nieboszczyka.

Po panu Janie, nadjechał pan Franciszek, syn młodszy Kraszewskiego, jeden z wyznaczonych przezeń egzekutorów testamentu. Zabawili dzień i udali się do San-Remo. Po nich przybył zięć, pan Witold Męczyński z Kijowa. Rzecz się rozchodziła o przewiezienie zwłok do Krakowa.

Wraz ze złożeniem zwłok w „izbie zmarłych” i z przybyciem syna najstarszego, rola nasza t. j. d-ra

Laskowskiego, który się głównie wszyskiem i gorliwie zajmował, i moja z czynnej stała się bierną. Stanować nie mogliśmy już nic. Mogliśmy jeno czekać i życzenia wyrażać. Owóż, z góry wiedząc, że pogrzebanie Kraszewskiego w Genewie może być prowizorycznem jeno, sformulowaliśmy życzenie nasze, co do przewiezienia zwłok do kraju, odpowiednio stanowisku, jakie nieboszczyk w społeczeństwie naszym zajmował. Jak skoro doszła nas wieść, że pogrzeb odbyć się ma w Krakowie, weszliśmy z Krakowem w stosunki korespondencyjne. D-r Laskowski komunikował się z p. Szlachtowskim, burmistrzem Krakowa; ja—z redakcją *Nowej Reformy*. Zwłoki Kraszewskiego w izbie zmarłych pozostawać mogły tak długo, jakby tego potrzeba było—rok, lat dwa, do mca maja, do połowy kwietnia. Wydawało się nam, że na to, ażeby się w kraju przysposobiono na przyjęcie onych poważne i uroczyste w metropolii polskiej, potrzeba czasu nieco. Dlategośmy bez oznaczenia terminu oznajmili, że mogą one w Genewie pozostawać i na oznajmienie to otrzymaliśmy od *N. Reformy* telegram, nagłący o wysłanie jaknajśpieszniejsze z powodu, że zwłoka źle sprawia wrażenie. W momencie otrzymania telegramu tego, rodzinę nieboszczyka reprezentował w Genewie sam jeden pan Jan Kraszewski. Pokazałem mu telegram i, za jego zgodą a po radzie z doktorem, odtelegrafowałem, że nic nam na zwłocę nie zależy, w liście zaś wyprawionym niezwłocznie wyraziłem życzenia nasze. Nie były one nadzwyczajne. Domagaliśmy się przysłania, po zabranie trumny z ciałem największego śród współczesnych polaków męża, delegacyi ze Lwowa, Krakowa i z Poznania od tych ciał, które reprezentują naukę, literaturę, interesy społeczne i których nieboszczyk był członkiem. Czy było to do zrobienia niemożliwe? Podróż do Genewy nie pociąga za sobą wydatków ogromnych a godziło się ponieść takowe, z jednej

strony, dla okazania światu, że czcic umiemy ludzi zasłużonych, z drugiej, dla zaznaczenia podniosłości zasług w obec pracowników, idących jedną z Kraszewskim drogą. Na list ten nie otrzymałem odpowiedzi żadnej. Panowie Franciszek Kraszewski, syn i Witold Męczyński zięć nieboszczyka, którzy przez Kraków przejeżdżali i widzieli się z osobistościami, zajmującemi się pogrzebem, nie umieli we względzie delegacyi najmniejszego udzielić objaśnienia. Jasnem było, że żądanie to nie dostąpiło tego zaszczytu, żeby je na uwagę wzięto. Zaznaczyłem je w *Kuryerze Ławowskim* i *Gazecie Narodowej*, w korespondencyjach—i to nie pomogło. O delegacyi ani myślano, a dlaczego nie myślano, wyjaśniło się to w relacyjach dziennikarskich, zdających sprawę z kolei, jakie przechodziła kwestyja pogrzebu Kraszewskiego w Krakowie. Ku zdziwieniu, zdumieniu i zgorszeniu naszemu jaknajwiększemu dowiedzieliśmy się, że znaleźli się ludzie—polacy, odmawiający nieboszczykowi cześci i plwający w jego rany męczeńskie. W naiwności naszej „emigracyjnej” nie przypuszczaliśmy czegoś podobnego. Spodziewaliśmy się, że się usuną władze państwowe i osobistości polityczne; aleśmy napewno liczyli, że ze strony władz krajowych, instytucyj autonomicznych, ciał naukowych, stowarzyszeń wszelkiego rodzaju i ogółu publiczności nie zabrzmi najłżejsza, czy to zbiorowo czy pojedynczo, nuta fałszywa. Nie!—tegośmy nie przypuszczali. Liczyliśmy na jednozgodność i jednogłośność w uczczeniu zasług tego, co nietylko bezwarunkowo i bezwzględnie wśród nas najzasłużeńszym był, ale jeszcze zasługami swojemi ściągnął na siebie prześladowanie dzikie. Dlatego kolatał o delegacyją, któraby z’pod warty naszej zwłoki wielkiego nieboszczyka zabrała i do grobu na ziemi rodzinnej powiozła. Bylibyśmy wręczenia zwłok dokonali w obecności świadków cudzoziemskich, bez ostentacyi szczególnej, ale uroczystie, poważnie

i odpowiednio temu stanowisku wydatnemu, jakie zajmował moralny większości narodu wyobraziciel. Kraszewski zasługiwał na to. Kolatałem więc o delegacyją—nie dokolatałem się.

Nie pozostawało jak, wobec naglenia o wysłanie, wyprawić zwłoki sposobem transportowym. Na kolejach żelaznych istnieją we względzie tym przepisy specjalne, w państwie każdym inne co do szczegółów niektórych. Wogóle ciała zmarłych transportują się w trumnach opieczętowanych osobnymi opieczętowanymi wagonami, które w Niemczech przyczepiać wolno do pociągów pasażerskich i towarowych, w Austrii zaś do towarowych tylko. Wagony takie opłacają takse—niższą w Niemczech, aniżeli w Austrii. Na przewiezienie zaś trupa należy w państwie każdym uzyskać, na podstawie świadectwa lekarskiego, pozwolenie rządowe, udzielane przez ambasadorów odpowiednich, rezydujących w państwie, w którym śmierć nastąpiła. Zajmują się tem przedsiębiorcy pogrzebów; ci wraz z trumną wysyłają kuryerów, obowiązanych ciało wręczyć wedle adresu—zupełnie jak towar. Luboć nam to przykreść sprawiało, trzeba się jednak było zgodzić na to.

D-r Laskowski zwrócił się do znanego sobie przedsiębiorcy i umówił się z nim o przedstawiający pod względem szybkości dostawy i wysokości kosztów więcej dogodności transport przez Niemcy. Droga na Bazyleę, Frankfurt i Wrocław ciało we trzy dni stanąć miało w Krakowie. Że zaś droga ta do Oświęcimia przechodzi przez terytoryjum niemieckie, a dalej przez austryjackie, przedsiębiorca przeto zgłosił się w Bernie o pozwolenie do ambasadora niemieckiego i austryjackiego. Ten ostatni pozwolenie udzielił bez objekeyi najmniejszej; tamten zaś nie odmówił, ale zażądał czasu godzin dwadzieścia cztery i zobowiązał się odpowiedź przysłać do Genewy. Działo się to w po-

niedziałek, 28 marca —wyprawienie zwłok naznaczonem zostało na dzień 31 t. m., na godzinę 12 o południu, o której wychodzi ekspres. Pozostawało dni trzy. We wtorek odpowiedź nie nadeszła.

We środę w „izbie zmarłych” zeszliśmy się p. W. Męczyński, d-r Laskowski i ja z urzędnikiem, wydelegowanym do opieczątowania trumny. Wieniec, bukiety i girlandy na swoich pozostawały miejscach, ale przywiędłe i oskubane. Kwiaty i liście rozbierano na pamiątkę. Nadeszli blacharze do zalutowania wieka ołowianego trumny wewnętrznej. Przy okładaniu ciała watą oglądałem po raz ostatni oblicze nieboszczyka. Przybrało ono pozór marmurowy z wyrazem spokoju kamiennego. Obłożono ciało watą; przykryto je wiekiem ołowianem; rzemieślnicy otów złutowali; przysrubowano wieko zewnętrzne, drewniane; urzędnik trumnę opasał nawskrzyż taśmą, poprzykładał pieczęci rzeczypospolitej genewskiej i spisał protokół czynności swojej. Obecny był przy tem i przedsiębiorca transportów pogrzebowych, który na zapytanie doktora o pozwolenie ambasady niemieckiej odpowiedział, że nie nadeszła jeszcze.

— Cóż to znaczy?...

— Nie nadejdzie chyba...—zauważyłem.

— Nie udzielą może Niemcy pozwolenia, ale odpowiedź dadzą w każdym razie...—odparł doktor.

Przedsiębiorca tego był zdania, że i odpowiedź dadzą i pozwolenia udzielą, a zdanie to opierał na tem, że nigdy mu nie odmawiali jeszcze.

— Znam — mówił — ambasadora osobiście: miły (*charmant*) człowiek.

— Na wypadek wszelki pan do niego zatelegrafuj, *réponse payée*...—rzekł doktor.

Odmówienie pozwolenia wydawało się nieprzypuszczalnem dlatego, że nie miałoby racyi, ani sensu. Cóż takiemu, jak cesarstwo niemieckie mocarstwu za-

szkodzić czy pomódz mogło przewiezienie zamkniętych w trumnie podwójnej, w skrzyni i w wagonie opieczętowanym zwłok? Nieprzypuszczalniejszem jeszcze wydawało się, ażeby ambasador, człowiek miły, odpowiedzi nie udzielił.

Przedsiębiorca telegrafował i odpowiedź opłacił raz, drugi i trzeci i—kiedyśmy się, polacy w Genewie zamieszkali, zgromadzili na dworcu kolei żelaznej we czwartek o godzinie 10 rano, celem pożegnania po raz ostatni zwłok zmarłego wśród nas wielkiego męża Polski, od ambasadora nie nadeszła była jeszcze. Łatwo było domyślić się, jaką sprawa ta drogą poszła. Ambasador odniósł się do ministra spraw zewnętrznych, ten ostatni do księcia Bismarka i na księciu rzecz się zahaczyła. Że się zahaczyła, to niemal widocznem było. Zawsze jednak zachodziły kwestyje: co do pozwolenia najprzód, którego odmówienie w zanádto bliskiem znajdowało się pokrewieństwie z przekornością straganiarek, ażeby w mężu stanu przypuszczonem być mogło; co do odpowiedzi następnie, której nieudzielenie wchodziło do kategorii brutalności, niedopuszczalnej w człowieku przyzwoitym. Nie umieliśmy sobie jednak wytłómaczyć milczenia. Przedsiębiorca spodziewał się odpowiedzi w chwili ostatniej i dlategośmy programu nie zmieniając, o dziesiątej trumnę w wagonie ulokowali i wieńcami ją okryli; wieńce zbywające w osobnej poszły skrzyni. D-r L. słów kilka pożegnania wygłosił; ja słów kilka powiedziałem od siebie. W oczach naszych wagon zamknięto i opieczętowano i o dwunastej powinien był ruszyć, ale nie ruszył, oczekiwaliśmy bowiem jeszcze na odpowiedź, przypuszczając spóźnienie—umyślne może nawet. Nie było to jednak spóźnienie. Ambasador przyrzeczenia nie dotrzymał i odpowiedzi nie udzielił żadnej. Taką rząd mocarstwa potężnego zrobił sobie satysfakcyją...

Wysłanie zwłok spóźniło się o godzin dwanaście. Wagon z trumną wyruszył o północy, na Zürich, a dalej koleją arlberską, na Wiedeń, do Krakowa. Miał on być przez delegacją na granicy kraju spotkany; i to jednak nie nastąpiło — i byłby zapewne został gdzieś schowany, gdyby nie zacna młodzież krakowska, która go w porę na dworcu wypatrzyła i zaimprovizowała uroczyste, a rzewne wprowadzenie do miasta zwłok, w obec których stronnictwa powinny były sztandary swoje zwinąć. Stronnictwo demokratyczne, pomimo, że nieboszczyk do niego nie należał, uczyniło to: czemuż tego nie uczyniło stronnictwo konserwatywne? Czy ma to świadczyć o stosunku stronnictw tych do narodu, którego Kraszewski, jako literat, publicysta, uczony i obywatel, był wyobraźcą wiernym? Czy ma to oznaczać, że pierwsze służby, drugie panowanie swoje narodowi ofiaruje?...

Pytania te bez odpowiedzi pozostawiam, do wspomnień zaś o Kraszewskim mam jeszcze dodać jedno tylko. Po śmierci jego wyczytywaliśmy w piśmie krajowych telegramy, podające fakty z prawdą niezgodne. Tajemnicą jest dla nas, kto komponował i szerzył wiadomości tego rodzaju, towarzyszące zgromowieniu wszystkich prawie wielkich ludzi. Nie prostowaliśmy ich na razie, nie chcąc przed rozstrzygnięciem kwestyi pogrzebu wywoływać polemiki — inaczej, wyrażając się malowniczo, drażnić ós w gniazdach. Napisałiśmy jednak sprostowanie i takowe, podpisane przez profesora d-ra Z. Laskowskiego, przez studentów uniwersytetu p.p. Hertyka, Franciszka Hirszberga i Ferdynanda Polzeniusza i przezemnie, wysłaliśmy, za pośrednictwem *Nowej Reformy*, w dwóch egzemplarzach, jeden do Rady miejskiej, drugi do Akademii nauk. Wysłaliśmy je pod d. 14 czy 15 kwietnia, upraszając Radę miejską i Akademię nauk, ażeby dokument ten przyłączyła, pierwsza do protokołu pogrze-

bu, druga do akt, tyczących się członka z grona jej ubylego. I jedna i druga obeszła się z nami, jak księżę Bismark, nie udzielając pokwitowania, jak ten odpowiedzi nie udzielił. Przypuszczam, że na tego rodzaju odprawę zasłużyłem ja, wykreślony z łask wszechkonserwatyzmów i wszechklerykalizmów; ale za cóż ubliżenie dotknęło młodych ludzi, którzy czasu jeszcze zasłużyć na niełaskę nie mieli, za cóż dotknęło powagę taką, jak profesor uniwersytetu, którego wykłady zaszczyt nam przynoszą?... Tajemnica—zagadka; i *Nova Reforma* zagadki nam tej nie rozwiązała, pomimo, że o to kołatał do niej. Ha!...

Ze zreasumowania moich o Kraszewskim wspomnień wynika, że odnoszą się one do dwóch w życiu jego ważnych i do scharakteryzowania go przydatnych momentów: do momentu, w którym on, w sile wieku męskiego, „spłonął ogniem świętym” i do momentu, w którym starzec, strudzony, niby żeglarz na łodzi burzą skołatanej, podążał i dobić się usiłował do portu. W jednym i w drugim razie okazał, że zdobyć się może na siłę woli. W San-Remo uparł się i wyjechał,—a jużci z pewnością w epoce, w której się z nim po raz pierwszy osobiście poznałem, nie brakło ani racyi, ani namów, ani prośb, ani wpływów poważnych i bardzo poważnych, ciągnących go do szeregów, jeżeli nie tych, co ogień ogniem gasić próbowali, to tych, co uszy sobie zatykali, ręce umywali. Nie stanął przy tym, z kim naród nie był, trzymał bowiem zawsze z narodem; kiedy się więc ten uniósł, uniósł się i on i, gdyby naród poszedł na dno piekła, na dno piekła byłby z nim poszedł i Kraszewski. Tem się on różnił od Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, od Mochnackiego, od Lelewela, od—szukając porównania bliżej—Szujskich i Kalinków, z których każdy był człowiekiem stronnictwa, sztandar stronnictwy wywieszał i drogę wskazywał. Kra-

szewski nie należał do rodzaju ludzi przewodnich: naprzód się nie wyrывał, ale i z tyłu nie pozostawał, przymykał do lewicy, przymykał do prawicy i na stanowisku tem środkowem był najczystszy, najwierniejszym i najszczytniejszym przedstawicielem tego, co w czasach ostatnich uzyskało nazwę „intrygi,” polegającej całkowicie na tem, ażeby się utrzymywać przy życiu. Żyć i pracować; pracować dla życia i czekać; „czekajcie i czuwajcie”: były to wytyczne środkowej drogi jego słupy.

Najwyraźniej się to pokazało w przedśmiertnych jego godzinach.

O! jakże on umierać nie chciał.

Żyć pragnął—pragnął całą duszy swojej potęgą, żyć i pracować. Ani razu z ust mu się nie wyrwało inne pragnienie usprawiedliwienie. Gienijusz pracy przyświecał mu i takie miał dla niego ponęty, że wierzyć nie chciał, ani w starość własną, ani w brak sił, ani w to, że mu natura przeszkodzi. Przeszkodę przypuszczalną usunąć usiłował, dlatego Łaskowskiego na pomoc wezwał i bezwarunkowo mu się oddał. Domownicy jego powiadali mi, że zamierzał Ochrowicza do siebie zaprosić, ażeby od niego wskazówki we względzie zdrowia swego pobrać. Zdrowia pragnął dla życia, życia dla pracy, pracy dla narodu, którego był synem wiernym, który ukochał gorąco i dla którego z siebie snuł i snuć a snuć chciał sieci ochronne, Przedśmiertne Kraszewskiego chwile uważać można, jako jego pod adresem narodu testament: „Żyć i pracować, a pracować dla utrzymania życia.” Z chwil tych nic innego, żadnego „wielkiego słowa” potomności nie przekazał. Wielki ten człowiek umarł, jak śmiertelnik zwyczajny, a miał śmierć tak lekką, taką dobrą, cichą, spokojną i ponętą, że widok jej sprawiał pragnienie śmierci.





Dotychczas wyszły i są w sprzedaży następujące tomy wydawnictwa imienia T. T. Jeża:

Szkice H. Spencera t. I, wydanie drugie.

Szkice H. Spencera t. II.

Dziedziczność Psychologiczna Th. Ribot'a.

Geniusz i obłąkanie C. Lombroso,

Pod prasą:

Logika W. Wundta.

Następnie ukażą się:

Teoryja poznania W. Wundta.

Zagadnienia życia i ducha G. H. Lewes'a.

Współczesna Psychologija w Niemczech Th. Ribot'a.

STRESZCZENIE:

T. RIBOT: Dziedziczność Psychologiczna.

Praca Ribota jest pierwszym i, jak dotąd, jedynym zupełnym i ściśle naukowym wykładem zjawisk dziedziczności. W części pierwszej znajdujemy obfity zbiór faktów, wykazujących dziedziczenie rozmaitych instynktów i zdolności zmysłów, pamięci, uzdolnień naukowych i artystycznych, uczuć, namiętności, popędów zbrodniczych, charakteru w ogóle, oraz charakteru narodowego, wroście chorób zmysłowych — obłąkania, idiotyzmu, samobójstwa. Założwszy w ten sposób szeroką podstawę faktów, usiłuje Autor objaśnić je, czyli ustanowić „prawa dziedziczności”; poczem wyklada praw tych następstwa i zastosowania. Tu więc znajdujemy niezmiernie interesujący rozbiór zagadnień o naturze t. z. idei wrodzonych, o genezie pojęć moralnych, o naturalnych, z dziedziczenia wynikających, różnicach między klasami społecznymi (lud, szlachta), kastami i profesjami. Kończy dzieło streszczeniem głównych hipotez, mających na celu wytłumaczenie zjawisk dziedziczności postawionych przez Darwina, Spencera, Haeckla. Z krótkiego tego przeglądu biorąc miarę, jak różnorodnych sfer życia dotyczy kwestya dziedziczności, widocznem jest, iż nikomu z oświeconych ludzi obcą pozostać ona nie może.

CEZAR LOMBROSO: Geniusz i obłąkanie.

Główne to dzieło znakomitego uczonego włoskiego, które w oryginalnie doczekało się w ciągu lat dziesięciu czterech wydań, przedstawia w sposób ściśle naukowy, ale w formie przystępnej i zajmującej, analogje, jakie zachodzą pod względem fizjologicznym i psychologicznym między genialnością i obłąkaniem. Przekład dokonany został z 4-go wydania włoskiego, pomnożonego ciekawymi rozprawami o grafomanach, o twórczości obłąkanych, o protokach i t. d. Dzieło ozdobione jest kilkoma drzeworytami, tablicami litografowanymi i mapkami kolorowanymi.

WILHELM WUNDT: Logika—Teoryja poznania.

Pod ogólnym tytułem Logiki Wundt, najznakomitszy ze współczesnych psycho-fizjologów, wydał dzieło będące filozoficznym ujęciem całokształtu wiedzy ludzkiej. Praca ta, wydana w oryginale w dwóch tomach, składa się właściwie z trzech części: Teoryi poznania, Właściwej logiki i Metodologii, z których każda, łącząc się z pozostałymi współnością treści, stanowi jednak zsumkniętą w siebie całość. W obecnej serji, ukazuje się **Teoryja poznania**, w której autor z właściwą sobie gruntownością i subtelnością analizy rozbiera domniaste pytania: powstawania myśli, stosunku wiedzy do wiary, materji i siły, przyczynowości i celowości w naturze i t. d., odsłaniając przy tem całkiem nowe i rozległe widnokręgi myśli.

G. H. LEWES: Zagadnienia życia i ducha.

Zmarły przed paru laty autor tego dzieła, jeden z najoryginalniejszych myślicieli nowoczesnych Anglii, jest już znany publiczności polskiej z kilku przekładów; oprócz śmiałości i głębokości myśli, cechuje on niezwykłym darem uzmysławiania najbardziej oderwanych kwestyj i rzadką wśród angielskich pisarzy, żywością wykładu. Z szeregu dzieł, wydanych przez Lewesa pod powyższym tytułem, a stanowiących systematyczny zarys podstaw Filozofji Wiedzy, do obecnej serji wejdzie pierwsza z kolei: **Podstawy Wiary** (*Foundations of Creed*). Zawiera ono następujące działy: a) Metoda naukowa w zastosowaniu do metafizyki; b) Prawidła myślenia filozoficznego; c) Dane psychologiczne; d) Granice wiedzy.

T. RIBOT: Współczesna Psychologia w Niemczech.

Dzieło to uzupełnia dawniej już literaturze naszej przyswojoną „Współczesną Psychologią pozytywną w Anglii”. Gdy Anglicy, jak Mill, Bain, Spencer, Sully, przedstawiają głównie stronę nauki faktyczną, opisową, uczeni niemieccy—Lotze, Fechner, Wundt, Helmholtz, zwracają się raczej do podstawowych pierwiastków umysłu: posługując się przeważnie eksperymentem i rozważając czynności duchowe w nie-rozerwanym związku z organizmem nerwowym, otwierają szkołę t. z. **psychologii fizjologicznej**. Dzieje tych usiłowań, oraz najważniejsze ich rezultaty, stanowią właśnie treść niniejszej książki. Zaczynając od Herberta i pierwszych jego prób matematycznego sformułowania zjawisk psychicznych, autor streszcza z kolei prace o psychologii ludów (Waitz, Lazarus, Steinthal), badania nad powstawaniem pojęć przestrzeni (Lotze, Møller, Volkmann, Helmholtz) prawo psychiczne Fechnera o zależności między siłą wrażeń i uczuc a podniętą zewnętrzną, wreszcie liczne prace, dotyczące prędkości procesów umysłowych. Czytelnik, chcący nabrać ogólnego wyobrażenia o współczesnej psychologii ścisłej, lub zamierzający poświęcić się dalszym w tym przedmiocie studjom w dziele Ribota znajdzie pomoc znakomitą.